Rok III. Kraków, dnia 5 Lutego 1884 r. Nr. 2. i 3.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY
pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.
Z przesyłką w Austryi: rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.
W Wielkopolsce: z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.

Główny współredaktor K. Bartoszewicz.
Wydawca i redaktor odpowiedzialny Jan Blaschke.
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

MÓJ TESTAMENT.

Ponieważ na tym łez, płaczu padole
Nie rzadkim nagły jest przypadek zgonu.
Więc spisać wcześnie swą ostatnią wolę
Jest rzeczą mądrą i dobrego tonu.

Boć, naturalnie, kto testament pisze
Ten coś mieć musi do rozporządzenia;
Bez testamentu wchodzą w grób hołysze,
Lub tchórze — śmierci bojący się cienia.

Ze mną inaczej. Z uwagą i ściśle
Robię dokładny przegląd mej chudoby;
Wszystkich przyjaciół obdarzyć nią myślę,
Niechże naprózno nie noszą żałoby.

Nie sądźcie jednak, że będą to dary
Jakiejś realnej, brzęczącej natury;
Cóż znów... Gdzież kiedy chodziły do pary
Z nędzną Mamoną Appolina córy?

Nie, przyjaciele, to co wam przekażę
Zysku kieszeni nie da ani szczypty;
Chyba, że kto z was zlikwiduje gażę
Za pozostałe w tece manuskrypty.

Ha! na to zgoda. Uprzedzam w tym względzie
By z redakcyami nie było rokoszy,
Że — niech im Pan Bóg miłosierny będzie —
Od wiersza prozą biorę ośm groszy.

Ale do rzeczy. Tym, którzy się poją
Goryczą życia, których cierń oplata
Oddaję jedną, cenną zdolność moją
Do łez w samotni — do śmiechu wśród świata.

Ci, którym potwarz i zawiść tajemnie
Plwając na czoła ich czyste a harde
Zamąca spokój — niech wezmą odemnie
Wielką dla ludzkich wyroków pogardę.

Tym, co jak dzieci wyciągają dłonie
Do marnych cacek, co kosztem cierpienia
Kupują szczęście, co przez chwilkę płonie —
Tym wszystkie moje oddaję złudzenia.

Tym, co szukają w życia smętnej czarze
Czystych roskoszy bez walk i bez szału
I bez goryczy — tym ja niosę w darze
Miłość natury i cześć ideału.

To wszystko... jedno zostawiam przy sobie...
O! gdybym miała tu jakiego wroga,
Nad którym mścić się chciałabym i w grobie
Najcięższą karę zdobyć dłań od Boga —

Któremu zatruć pragnęłabym życie,
By wiecznie cierpiał — i w wiecznej rozterce
Żył z sobą, z światem i sam się jadł skrycie,
Temu bym moje zostawiła — serce!

Hajota.

ROSKOSZE LETNIEGO MIESZKANIA

JEDNA Z TYSIĄCZNYCH SCEN POŻYCIA.

przez autora Kłopotów Starego Komendanta.

Dokończenie.

Najęliśmy owe trzy pokoje, z zamiarem odnajęcia jednego dla kawalera z porządnej familji, (tak żona sobie wymówiła), któryby przyjechał do Wierzbna celem dokończenia tegoczesnej edukacji (przepraszam, chciałem powiedzieć wodnej prysznicowskiej kuracji). Pokoje obejrzeliśmy wśród dnia lecz przy zamkniętych okiennicach, ja czułem wprawdzie jakieś wilgotne zapachy, ale żona stanowczo mię zapewniła, że kataru niema, a nic a nic nie czuje. Z tych projektowanych 150 złotych cena urosła do 450, które po odnajęciu owego pokoju miały się znowu pomniejszyć do 250 zł., a oszczędności na ubraniu, trzewikach, taniem jedzeniu i tym podobnych w umyśle poetycznej małżonki zrodzonych drobnostkach jeszcze do 100 złotych obniżyć.

Powiedziałem: «zgoda» — bo cóż mogłem lepszego zrobić? — Jedziemy więc, sprowadzamy graty, ja biegam jak warjat to najmować fury, to znosić, rozbijać, zbijać, pakować, pilnować, a przytem nie wyjmuję ręki z kieszeni, boć przecie wiadomo ile to w Warszawie każda najdrobniejsza przysługa kosztuje. Przed wieczorem powalany i zmęczony jak nieboskie stworzenie, siedząc na tłumoku z pościelą, powitałem przybyłą Weronisię. Wesoła, szczęśliwa, rzuciła mi się na szyję, ucałowała z wdziękiem pięćdziesięcioletnią łysinę moją, i rozpatrzywszy się do koła rzecze: jakże tu pięknie mój Tymciu!

Nie mogłem podzielić tego uniesienia szanownej połowicy, albowiem w pokoju z malowania obdartym, w pokoju którego ruchoma podłoga przypominała mi fale morskie, a sufit groty stalaktytami porosłe, w pokoju mówię po raz trzeci, do ktorego

przez wszystkie drzwi, okna, kominy i piec, wiatr libertyn wciskał się, świszcząc przeraźliwie, a z każdego kąta wychodził zapach grzybowatej wilgoci — nie może być pięknie.

Po pustelniczej kolacji składającej się z suchego kawałka chleba i świeżej krynicznej szklanki wody, zdołałem przecież dopaść jakiegoś posłania, kontent, że sobie będę mógł odpocząć. Zasypiam w najroskoszniejszych snach o młodości, gdy wtem budzi mię wołanie żony:

— Tymciu, Tymciu, tu okropnie wieje!

Rad nie rad podnoszę się i zaczynam rewizją szyb w oknach — trzy wybite, w kominie otwór niezatkany, dalejże więc zbierać manatki, zasłaniać, obtykać, przestawiać, kiedy na zegarku jest już blisko dwunastej. Kładę się tedy, aż znów w parę minut budzi mię przeraźliwy krzyk Weronisi. Co takiego? — mówię zrywając się na równe nogi.

— Coś chodzi po pokoju mój Tymciu!

Więc znowu szukam świecy przy ogromnym strachu imości dobrodziejki, szukam rozbójników odważających się zakłócać spokojność mieszkańców letniej rezydencji.

Nie wiem doprawdy, kto tu był owym rozbójnikiem; czy my płacący z mieszkania, czy niewinne żabki ropuchy kwaterujące w wilgotnych kątach zapewne znacznie od nas wprzódy. Ale że prawo mocniejszego zawsze jest lepszem, przeto mimo wszelkich protestacyj grzechotającej rzeszy, wyniosłem je z tryumfem na łopacie przy licznych okrzykach zwycięzkich mej żony i dwóch lękających się służących.

Ukończywszy tym sposobem świetną wyprawę owej pierwszej nocy roskoszy letniego mieszkania, nie mogłem nawet spocząć na zdobytych laurach; bo dzień wielki zajaśniał na niebie, ptastwo zaczęło się drzeć nielitościwie, muchy dokuczać, a służące porządkować w kuchni.

Tydzień już używamy w pełni świeżego powietrza: żona wygląda jak pączek ale zawiędłej róży, ja znowu jak lilja wodna, albowiem spacerując codziennie wiorst 14-cie mam to szczęście przez kilka godzin być oblanym rzęsistym potem, a na nogach nosić ślady naturalnych wezykatoryj. Prócz tego jako przykładny mąż i gospodarz swego domu, pełnię obowiązki objuczonego kolegi z dużemi uszami, którego nazwiska wypisywać tu nie widzę potrzeby, gdyż nie chcąc zobaczyć umierających z głodu siebie, żonę i dwie pracujące służące, noszę im z Warszawy to wszystko, co nasze poczciwe kucharki z za Żelaznej Bramy codziennie w koszykach dźwigają.

Lecz to szczęście nasze opiera się na bardzo niewinnych przyjemnościach: pijemy zimną wodę, chrześcjańskie bo ochrzczone mleko, otwieramy okna i drzwi, ziewamy od g. 9-tej z wieczora, słuchamy roskoszego pienia słowików i przypatrujemy się licznie przechadzającym i dobrze postrojonym paniom, których rysy Lewant przypominają, a wymowa szczególniej głoski *r* rodowitych Paryżan znamionuje.

Upływa drugi tydzień: na odnajęcie pokoju nie zgłasza się żaden z młodzieńców dobrej familji, a tymczasem poczciwy trzechdniowy deszczyk zmusza mię z całą załogą pozostać w domu jak w oblężeniu. Po całych dniach siedząc w oknie obserwujemy stan powietrza, ucząc się meteorologji i jak rozbitki na morzu, każdy jaśniejszy połysk wróżący pogodę, witamy z największem upragnieniem i radością. Mała rzecz — tylko grozi nam śmierć głodna, albowiem w tak ustronnem miejscu w jakiem leżało nasze mieszkanie — do restauracji w Wierzbnie daleko, a u sąsiadów kolonistów prócz chleba i mleka nic więcej kupić nie można.

Oj źle, myślę sobie — trzeba tu jakbądź wydostać się, chociaż nie na świeże, to przynajmniej na swobodne powietrze, ale w tem sęk jakim sposobem?

Kiedy się tak zastanawiam, przeklinając tych co wymyślili letnie mieszkania, i same mieszkania i takich mężów co jak ja dowolnie za nosy wodzić się dają — pogoda już na dobre zajaśniała na niebie, a z nią pokazuje się pani Weronika z minką jak można najczulszą. Dreszcz mię przeszedł po ciele; jak rycerz gotowy do boju, mimowolnie sięgnąłem ręką po oręż znajdujący się w pugilaresie, czując że tym razem jemu największe grozi niebezpieczeństwo.

«Tymciu — rzecze — głaszcząc mię swą piękną ręką pod brodę (mówię piękną, bo dla każdego męża wszystko u żony powinno być piękne) — zrobię ci dzisiaj niespodziankę.»

Wielka nowość—pomyślałem sobie, dla męża od żony niespodzianka to chleb powszedni, boć przecie i sama żona jest niczem więcej jak prostą niespodzianką — ale przywykły do takich wyrażeń pytam: jakąż?

— A bardzo będziesz z niej zadowolony? co?

— Naturalnie.

— Mówisz to tak zimno Tymusiu! że doprawdy odbierasz mi ten dobry humor z jakim tu przyszłam.

— Weronisiu! zdaje ci się, mów, mów kochanie; wszakże wiesz ile każda twoja niespodzianka sprawia mi przyjemności — odpowiadam spoglądając i zwracając myśl ku pugilaresowi, który w tym komplemencie nie zawsze godzi się ze mną.

— Otóż będę ci towarzyszyć dzisiaj do Warszawy; wieczorkiem, przy tak ładnej pogodzie pospacerujemy sobie aż do domu pieszo — powoli gawędząc o różnych rzecach—tam przenocujemy, a jutro na obiad wrócimy...

Nie miałem już siły wymówić *dobrze*, a tylko skinąłem głową, jak człowiek koniecznością losu skazany na wieczny przymus i pokorę. Dla czego zaś nie miałem tej siły, łatwo wytłomaczyć, zobaczywszy dobrą tuszę mej połowicy, a procz tego chód żółwi, gdy przeciwnie ja chociaż starszy od niej lubię iść prędko i swobodnie. Ale jak mówi niemieckie przysłowie: mus jest to twardy orzech do gryzienia, a ja moralnych zębów zaraz po ożenieniu pozbyłem się zupełnie, więc też w pół godziny czułem na mojem ramieniu opierającą się bez ceremonji Weronisię i zwalniając szybkość naturalnego chodu, posuwałem nogę za nogą. Zaraz przy wyjściu, spotkał nas żydek, faktor, pytając czy to u nas jest mieszkanie go odnajęcia?

— Jest, mówię.

— Jeden pokój dla kawalera — dodaje żona — może obejrzysz, bardzo porządny i wesoły, tylko wprzód chcę wiedzieć dla kogo?

— Jeden pokój — odpowiada żydek — ci państwo co mnie tu przysłali potrzebują dużo mieszkań, dwa, trzy pokoje z kuchnią.....

— A słuchajno Weronisiu — przerywam prędko bez namysłu, i doprawdy bardzo odważnie — możebyśmy odnajęli swoje, co?

Żona spojrzała mi w oczy — o radości! i wcale nie zagniewana... Widzę namyśla się, waha, mnie serce tak wali w piersi, że palto z pugilaresem aż podskakuje od tych uderzeń.

— Szkoda Tymoteuszu, prawda?— jeszcześmy nic nie użyli świeżego powietrza, a już się mamy wyprowadzać.

— Eh moje życie! wszędzie jest świeżego powietrza dosyć — odpowiadam prędko i z szczególniejszym adwokackim zapałem, a tu nudno, pusto, tęskno, jak gdy szczęście minie.

— Chciałabym i nie chciałabym — odpowiada wciąż wahając się, bo i jej te wymarzone wiejskie roskosze dały się dobrze we znaki.

Już, już ma stanowczą odpowiedź czekającemu żydkowi udzielić, gdy licho nadało, że jakaś wiejska kobieta podsunęła się ku nam, pokazując garnuszek świeżo uzbieranych i pierwszych

tego roku poziomek. Pani Weronika jak sęp rzuciła się ku niej, daleje targować, dalejże wypytywać kobietę, a kupiwszy, w końcu już i słuchać nie chciała przełożeń moich o odstąpieniu mieszkania.

— Nie! mój Tymku, gniewaj się jak chcesz, ale kiedy już są poziomki wyprowadzać się nie myślę. Tobie tak zdrowo na żołądek jeść poziomki, a tu dostaniesz tanio i świeżych...

— Moje życie, przecież i w Warszawie jest ich dosyć...

— Wiem że są, lecz trzeba przepłacać i to nie świeże, a tu patrz jakie piękne, mój drogi! poniesiesz je w drugiej ręce, będziemy mieli wyborną kolacją.

Niestety, przeklęte poziomki zniszczyły moje nadzieje! Zabrawszy tedy ow garnek w drugą rękę, ruszyliśmy ku Warszawie, a ja choć byłem zły jak sam szatan, miałem jednak tyle przytomności, żem na chybił trafił szepnął żydowi, żeby się zgłosił jutro...

Przez długi czas, nie mogłem ani jednej połknąć poziomki, ich smak z przyczyn dopiero opowiedzianych wydawał mi się nieznośną trucizną zabijającą pół roku letniego życia. Ba, ale to niby koniec moich utrapień! Ledwie żeśmy zdążyli przejść szlaban rogatkowy, chmura jedna, prawdziwa zdrajczyni i oszukanica naszych spostrzeżeń, wcale nieproszona i niewzywana, raczyła się zatoczyć nad nasze małżeńskie głowy, a nawet pozwoliła upuścić kilka pojedyńczych kropelek deszczu. No poradźże sobie jak chcesz w takim przypadku: schronić się niema gdzie, do domu i z domu daleko, biedz niepodobna, a tu ani parasola, ani dorożki — tylko krzyk mojej Weronisi otulającej chustką od nosa świeżutkie liljowe wstążki jedynego kapelusza. Pugilares miał dobre przeczucie, że na nim się wszystko skrupić musi. Rob co chcesz, głowę utnij, a iść potrzeba ku miastu, chociaż krople deszczu padają coraz częściej i rzęsiściej. Weronisia jęczy, ja z pośpiechu nie wiedząc kogo wprzod ratować, czy kapelusz, czy laskę, czy poziomki, upuściłem garnek — żona się gniewa idąc pospieszniej niż zwykle, gdy wtem słyszymy turkot.

— Dorożka, dorożka! — woła żona z całej siły.

— Gdzietam dorożka — odpowiadam przyglądając się nadjeżdżającej bryce rzeźniczej, jakiej używają do rozwożenia mięsa po jatkach.

— Stój przyjacielu! — krzyczy Weronisia zajęta swoim kapeluszem.

Wóz się zatrzymał.

— Mój kochany — rzecze ona do małego woźnicy cała zafrasowana deszczem — czybyś nas nie odwiózł do Warszawy.

Chłopak się roześmiał na taką zaczepkę i zabierając się dalej jechać odpowiada: Ale gdzież z przeproszeniem pani, chyba pod klapę...

— Czekajno, czekaj... a do mnie: — prawda Tymoteuszu co to szkodzi gdybyśmy pod klapą usiedli?

— Moje życie, co też ci się zachciewa, tam brudno od mięsa...

— Nic to, nic, podścielę chustki...

— Ale siedzieć nie można, pfe, wstydź się...

— Tak, wstydź się! — krzyknie już rozgniewana, a sprawisz kapelusz? ja wsiadam...

Daremnemi były moje perswazje, prośby i szyderstwa, daremnemi chichotania chłopaka powożącego, Weronisia wtłoczyła się na furę, ja za nią — klapę nad nami zamknięto, konie ruszyły, a mnie się zdawało, że jestem Dantem, którego wprowadzić mają do piekieł podziemnych.

Bojąc się usiąść, a tem bardziej położyć, musiałem podobnie jak czworonożne zwierzęta oprzeć się na rękach i kolanach, co również i żona moja zrobiła. Zły byłem niedoopisania, a jednak wyznam otwarcie ile razy spojrzałem na moją Weronisię tuż prawie i w takiej samej pozycji naprzeciwko ustawioną, nie mogłem się powstrzymać od serdecznego śmiechu, tak dalece, że ubranie na mnie pękało.

Pół biedy było gdyśmy jechali po drodze bitej, ale gdy chłopak skręcił w ulice brukowane i szkapiny zaciął; jak dwie gumowe piłki skakaliśmy wewnątrz rzeźniczego wozu, bijąc się, tłukąc i sztukając. Z góry deszcz huczał w wieko nas przykrywające, pod spodem deski drżały w jak najgwałtowniejszej febrze, kapelusz, worek rzeźnika i jakiś kawał kija współubiegały się z nami, które wyżej i lepiej skakać potrafi, a przytem turkot, którego w żadnym zakładzie fabrycznym, nawet w hamerni zapewne nigdy nie słyszano.

Po półgodzinnej takiej przejażdżce, albowiem krzyków naszych powożący chłopak wcale nie słyszał, stanęliśmy przecie na miejscu. Rzeźniczek otwiera wieko, spojrzy i wstrzymać się nie może od śmiechu: ubiór nasz w największym jaki tylko może być nieładzie żona na głowie ma worek rzeźniczy, ja zamiast butow kapelusz Weronisi, w ktorym obie nogi tak uwięzły, że wydobyć je bez podarcia kapelusza nie można, imości włosy jakby woalką przykryły twarz całą, a kij głowę swoją złożył w mym pogiętym kapeluszu.

— Tymciu, Tymoteuszu ratuj! — krzyknęła żona, gdym ją wysadzał z wozu na ziemię. Ale utrzymajże tu na rękach kobietę ważącą zapewne ze 300 funtów! — nie mogłem wytrzymać, puściłem, a piękna koloru mieniącego się suknia jedwabna, nie mowiąc już o samej żonie, ostatek swej swietnej egzystencji wyzionęła wśród ulicznego błota!

— Mężu mój złoty — Tymunieczku najdroższy — mówi mi żona rzucając się na szyję, gdyśmy się dostali do swego mieszkania — jakie to szczęście, że to w nocy zdarzył się taki wypadek. Jak mamę kocham, gdyby to we dnie spaliłabym się od wstydu — Tymuniu pisz ogłoszenie do Kuryera o odnajęcie mieszkania, pisz na miłość Boską, ja tam już więcej nie pojadę!

Dopieroż mi dziękowała, gdym ją zapewnił, że kazałem jutro zgłosić się temu samemu żydowi: jakoż odnajęliśmy przecie owe trzy pokoje nie młodzieńcom dobrej familji, lecz po prostu wspołwyznawcom żydka faktora, ale co żonę zadowoliło, że przecie *cybulizowanym*.

Naturalnie, że pugilares moj dobrze te wszystkie letnie przyjemności opłacił, bo na mieszkaniu straciliśmy blisko połowę, na zdrowiu, które imość Weronika nadwerężyła drugie tyle, a na kapeluszu, sukni i innych drobnostkach, które skutkiem owej rzeźniczej jazdy zniszczeniu uległy, trzeci raz tyle. Ach prawda! zyskaliśmy też nieco na rozumie, bo pani Weronika, najukochańsza małżonka moja tak zdecydowała w konkluzji, (o czem z początku samego wiedzieć była powinna), ze letnie mieszkania są albo dla chorych na piersi i inne tajemne dolegliwości, albo dla panów i starozakonnych, którzy nie wiedzą już co robić ze swemi dochodami!

DO JÓZEFA JAKUBOWICZA.

(Nieznany wiersz Karola Szajnochy [1]).

We Lwowie — W czytelni
Zakładu Ossolińskich w wilię
św. Józefa.

Z duszy mój drogi! — przy świętym Józefie—
Wszelkiego dobra życzę Ci do syta,
Jakie nam tylko w najjaśniejszej strefie
Marzeń zakwita.

---

[1]) Józef Jakubowicz zmarły 20 Lipca 1883, były naczelnik okręgowy w organizacji narodowej na obwód brzeżański i tarnopolski. literat, wielki

Lecz temu nigdy przebaczyć nie mogę,
Kto Ci zśród tylu zacnych świętych grona
Józefa właśnie, w życia tego drogę,
Dał za patrona.

Tento albowiem Cieśla po nad cieśle,
Rad ustawicznej na ziemi majsterce,
Tak Ci w budownem utopił rzemieśle
I los i serce,

Że ledwie jedno skończysz sobie gniazdo,
Już nierad musisz żegnać się z budową,
Aby pod również niestateczną gwiazdą,
Zaczynać nową.

I tak już wiecznie trud się z trudem brata,
Kosztowne drzazgi lecą przy tym trudzie —
Lecą drzazgami dnie, miesiące, lata
Życia w marudzie.

Więc o to głównie przy dzisiejszem święcie
Proszę usilnie twego majstra w niebie,
Niech to fabryczne losów twych zaklęcie
Zdejmie raz z Ciebie.

Niech Ci szczęśliwie skończyć da ciesielkę
Dzisiejszej twojej na zawsze ostoi,
W błogosławieństwa wszelkie, w dzięki wszelkie
Niech ją ustroi!

Abyś już wreszcie po trudach i burzach,
Zatknąwszy wieniec na budowy szczycie,
W zacieniu jego, śród kwiatów, na różach,
Błogie wiódł życie.

I kiedy wszelkich pomyślności żniwem
Fortunna hojnie obsypie Cię dola,
Wspomiał niekiedy uczuciem życzliwem
Twego — Karola.

CESARSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
I METRYKA LITEWSKA W PETERSBURGU

Ciąg dalszy.

Dalej nieco napotykamy bardzo piękny egzemplarz Agendy Krakowskiej z r. 1514 i ślicznie przechowany Psałterz Włocławski, choć mu brak ostatnich kart [1]). Po prawej ręce wystawiono dzieła opisujące turnieje średniowieczne, obszerny zbiór herbarzy najdawniejszych. Bliżej ku portretowi dzieła historyczne w starych egzemplarzach; z polskich widzimy bardzo rzadki egzemplarz wydania z roku 1495 Statutu Kazimierzowskiego i Łaskiego z r. 1506 [2]).

Obok tej sali mieści się oddział nauk jurydycznych i politycznych, którym zawiaduje znany rosyjski filozof p. Strachow.

Na lewo z sali barona Korfa położona obszerna sala o oknach z dwóch stron, w której mieści się w dalszym ciągu historja z naukami pomocniczemi. Tu znajdujemy stare wydania Bielskiego ale już nie w witrynie. W witrynach wyłożono najrozmaitsze zbiory najdawniejszych druków, wykonanych jakim bądź sposobem nadzwyczajnym. Mamy wielką kollekcję drukow czcionkami nadzwyczajnymi, dzieł na papierze kolorowym, drukowanych w kierunku podłużnym. Bardzo wiele jest rzeczy drukowanych na pargaminie: prawo państwowe szwedzkie, wydane w r. 1817 w Stockholmie, wiersze łacińskie papieża Urbana VIII. kilka wzorów petersburgskich druków na pargaminie i wydania homograficzne. Cennym jest obszerny zbior francuzkich Heures de la Sainte Vierge od roku 14 0—1550, wygladających na pozó , jak rękopisma. Drukowane są one przeważnie na pargaminie i ozdobione pięknemi miniaturami w tym rodzaju co i średniowieczne rękopiśmienne książki do nabożeństwa. Dalej widzimy szereg najdawniejszych druków we wszystkich gałęziach nauki: Pierwsze wydania greckie Etimoligicum magnum, Pindar w wydaniach weneckich z lat 1499 i 1515; editio aldina Theokryta, Euclides i Ptolomeusz 1482 roku, Hortus sanitatis 1485 i stara k hańska książka — Honesta voluptas. Oddziałem tym zarządza . Sokołowskij.

Do obszernej sali historycznej przylega pomieszczenie bardzo szczupłe historji sztuki i technologji. Nie znajdziemy tu ani jednego zakątka, któregoby nie zużyto i trzeba oddać należyte uznanie zawiadowcy tego oddziału p. Stasowowi, że potrafił umiejętnie wyzyskać wyznaczone mu miejsce. Przed widzem przesuwa się tu obraz stopniowego rozwoju sztuki rytowniczej, od jej początku aż do czasów naszych. Wzory ruskiego rytownictwa zajmują osobne miejsce i mamy przed oczami całe dzieje jego rozwoju; poczynając od tak zwanych «łubocznych kartin», przedstawiających np. polityczno-satyryczną procesją, jak myszy kota chowają i kończąc pracą Utkina Pius Aeneas. Dalej w tejże sali we drzwiach szaf rozwieszone są portrety Piotra Wielkiego, których biblioteka nagromadziła gorą 200. Są pomiędzy nimi cieka-

---

patrjota, który własnym funduszem założył w Brzeżanach bursę dla ubogiej młodzieży i hojnie ją uposażył, był serdecznym przyjacielem Szajnochy. A że lubował się w budownictwie i w dobrach swoich Kurzany liczne wznosił budynki mieszkalne, przemysłowe i ekonomiczne, ztąd to owa aluzja Szajnochy do namiętności budowniczej Jakubowicza.

Wiersz ten niedrukowany znakomitego historyka otrzymaliśmy od redakcji „Pereł humoru polskiego,“ której został uprzejmie nadesłany przez p. J. Ż.

[1]) Agenda latino et vulgari sermone polonico videlicet et alemanico illuminato incipit feliciter 12° fol. XCIIII inl. 1. Na pierwszej stronie nieliczbowanej (przedostatniej): Impressum Cracovie arte et impensis spectabilis viri domini Joannis Haller. Anno missionis verbi diuini in carnem millesimo quingentesimo decimo quarto.

F° I. Modus baptisandi masculos... Jako thobye dzyeyą. Myenycze dzyeczą. f° XI. v. Odrzekasch sye ducha slego; odrzekascz sie wschythkych uczynkow yego. Odrzyekam. Odrzyekasch szye wschythkych uczynków yego. Odrzyekam. Odrzyekasch szye wschelkye pychy yego. Odrzekam.

f° XVIII. v. Modus baptizandi femellos!

f° XXXII Modus administrandi hostiam salutarem egreto. f° XXXVIII. Unctionis extreme administratio. f° LVI. v. Exhortationes et interrogationes doctoris christianissimi Johannis de Gerson. f° LXIII. Conductus mortuorum. f° LXVI. v. Modus copulandi. Podlug urządu koscyola szwyąteg pitam czyebye M. y thesch czyebye K. iestly voy sządaczye wstąpycz w st dlo malszenyszye. Sządamy. M. J. K. wyedczye isze wschelyky człowye krzeszczyansky kthori cheze przyiącz szwyatosz malszeinstwa szwyątego te ma myecz naprzod czyste somnyenye dla the przyczyny. Bowem gdisch bo wszechmoczny daye laską swoyą przy kaszde swąthoszczy, thedi człowye nye ma myecz szadne przekazy ku przyiączu laski yego. Alye ma bi czisti od wschelkyego grzechu szmyertelnego wthore ma bicz wasch vmys dobri thako i sze wi w them stadlye chczeczye szicz ku czczi y ku chwaly boskye, y ku waszemu zbawyenyu duschnemu.

f° LXXI. v. Modus introducendi sponsam. LXXIII. v. Introductio mulieris post partum. f° LXXVI. Benedictio peregrinorum. f° LXXIX. Exorcismus salis. f° LXXXVI. Forma absolutionis plenarie. f° LXXXVIII. In d pasce benedictio agni et volucrum f° LXXXIIII Ben. carnium. f° XCIIII Contentorum in isto opusculo ordo hic annotatur.

Psałterz ma tytuł: Psalterium cum antiphonis et hymnis ad ordinationem veram ecclesie Cathedralis Vladislaviensis F° 139 bez końca.

[2]) *Constitutiones* et statuta vel sintagmata prouintialia incliti regni polonie. Per serenissimum atque inuictissimum principem et dominum Kazimirum primum... edita et promulgata s. l. et a. egzem. pargaminowy bez paginacji.

Commune incliti polonie regni privilegium. Cracovie in edibus Johannis Haller. Anno domini MCCCCCVI vicesimo septimo Januarii.

we okazy fantastycznych portretów, na jednym np. widzimy Piotra z łysą głową a wiadomo, że Piotr odznaczał się silnym zarostem głowy. Przeniesiono do biblioteki szyld z jednej tawerny londyńskiej, do której Piotr uczęszczał, przedstawiający Piotra z napisem Czar of Moscovy i z oznaczonem nazwiskiem właściciela tawerny. Ed. Wild Hasted. Szyld ten w roku 1804 kupiła Petersburgska Akademja Umiejętności. Poczem przeszedł do biblioteki.

Z oddziału sztuki przechodzimy do sali, w której się mieści tak nazwana Poligrafja. Weszły tu wszystkie dzieła encyklopedyczne i pełne wydania wszystkich dzieł jednego autora. Ztąd więc pełne wydanie dzieł Długosza znalazło miejsce w Poligrafji, a nie w dziale historji. W tej sali żadnych wystaw niema. Zawiaduje nią p. Walter znany w Petersburgu pisarz od łacińskich na wzór Horacjusza. Najnowszą jego pracą jest oda na koronacją cesarską.

Opuściwszy salę poligrafii, wstępujemy do pięknej sali owalnej z dużemi oknami na róg Newskiego i Wielkiej Sądowej, w jednem z których umieszczonym jest zegar elektromagnetyczny, połączony drutem telegraficznym z obserwatorjum Pułkowskiem. Pośrodku sali umieszczono niedawno posąg Woltera z marmuru roboty Houdon'a. Mieścił się on przedtem w sąsiedniej salce, w której z żoną została jego biblioteka. Tu mu obszerniej i posąg wygląda lepiej. Sam zaś Wolter ze swoim satyrycznym uśmiechem spogląda na cały Petersburg. Sala dwupiętrowa, dół zastawiony szeregiem witryn i szaf oszklonych. Wystawiono tu naprzód najrozmaitsze materjały, używane do pisania od najdawniejszych czasow; potem następuje szereg starych druków, poczynając od drzeworytniczych wydań z lat 1430—1445, jak Apokalypsa ś. Jana Żywot Przenajświętszej Panny, przechodzimy do pierwszych arkuszy biblii, wydanej w Moguncyi w r. 1457 i do Catholicon Guttenberga z r. 1460, spotykamy sławne Klementyny, wydania Fausta i Schoeffera, aż nareszcie natrafiamy i na najstarszy druk krakowski, wydanie Guentera Zainera dzieło kardynała Torquemady Explanatio in Psalterium. Biblioteka Petersburgska ma posiadać aż 5 egzemplarzy tego arcyrzadkiego dzieła. Odnaleźć można, jednak tylko dwa. Egzemplarz zamieszczony w witrynie cennym jest z powodu rękopismiennego przypisku z r. 1476, świadczącego o pochodzeniu jego z klasztoru Bożogrobców w Miechowie. Drugi egzemplarz, ktory można odnaleźć pochodzi z klasztoru Benedyktynow na Łysej Górze [1]). Osobna witryna wyznaczoną została na pierwodruki literatury hiszpańskiej, włoskiej, francuskiej i niemieckiej: wydanie Sewilskie z roku 1539 Amadis de Gaula, wydanie z r. 1481 we Florencji Dantego z rycinami, pierwsze wydanie Aldów Petrarki, Melusine z r. 1478, Lancelot du Lac 1494; Roman de la Rose 1531; Le vergier amoureux z rycinami i w. i. Przy oknie zamieszczono wytkane z jedwabiu naśladownictwa druku i rytownictwa. W jednej ramie osadzono wytkany testament Wilhelma III., a w drugiej portret Washingtona. Złudzenie zupełne i ustaje kiedy spojrzymy na światło. Inne witryny zawierają najrozmaitsze okazy sztuki introligatorskiej. Oczywiście, że są tu i polscy przedstawiciele, ale giną oni w natłoku arcydzieł europejskich. Na około sali w szafach rozstawiono egzemplarze dzieł które należały niegdyś do historycznych znakomitości. Massa książek należących niegdyś do Bourbonów, Napoleona, Ludwika Filipa, Masariniego, Richelieu, pani Pompadour i w. i. Sa tu i polskie, wiele jest książek z biblioteki Brühla. Gorną część sali zajmuje teologia, którą zawiaduje p. Boass. Oddział najgorzej urządzony w bibliotece i dotąd należycie nie skatalogowany.

Wielka sala, przyległa do owalnej oddana jest pod oddział ksiąg ruskich, drukowanych «graždanką,» a za nią dwie niewielkie salki mieszczą pisma perjodyczne rossyjskie. Zarząd biblioteki zebrał wszystkie dzieła w języku rossyjskim w jedno miejsce, nie zważając na ich treść. W tej sali niema żadnych wystaw i tylko na osobnem miejscu, stosownie na ten cel przyrządzonem, ustawiono katalog w kartkach w porządku alfabetycznym.

Aby pójść dalej, musimy cofnąć się wstecz i wejść ponownie do sali owalnej i ztamtąd udać się na prawo do ciasnego przesmyku, w ktorym się mieści filozofja, a w górnem piętrze nauki przyrodzone i matematyka. Oddziałem filozofji zawiaduje p. Radłow. Godną jest widzenia biblioteka Voltaire'a, ktorą cesarzowa Katarzyna II. zakupiła u niego, pozostawiając ją u właściciela, aż do śmierci jego. Długo ona pozostawała w Ermitażu i tylko z rozkazu cesarza Mikołaja przeniesioną została do biblioteki. Dawniej stał w niej posąg Voltaire'a, ktory obecnie umieszczono w sali owalnej. Z tej biblioteki nie wydają do czytania ze względu na wiele własnoręcznych notat dawnego właściciela. Zresztą nic tu niema takiego, czegoby biblioteka nie posiadała w drugim egzemplarzu. Rękopisma Voltaire'a przeszły rownież na własność biblioteki, jest tu i osławiony Sottisier, ktory nie nadaje się do druku. Powrocił nazad do Petersburga i zbior dokumentow historycznych, odpisanych z rozkazu cesarzowej dla Voltaire'a, odnoszących się do dziejów Piotra. Na przesłanym mu opisie Kamczatki Voltaire położył uwagę: Camchatka grand pays ou ni pain ni vin comment messe.

Po schodach dębowych, przy których zwykle obliczają publiczność, zwiedzającą bibliotekę, wstępujemy do niewielkiego pomieszczenia, prawie prożnego dotąd, gdzie się mieszczą chińskie, manżurskie, i japońskie księgi. Ztąd wstępujemy do dolnej sali owalnej o dziesięciu kolumnach, podtrzymujących sklepienie. Na podstawie z granitu stoi biust Aleksandra I. Wokoło całej sali ustawione są szafy, w których mieszczą się wszystkie książki, drukowane cyrylicą, aż do roku 1725. W jednej z nisz stoi szafa z rękopismami hebrajskiemi, kupionemi przez bibliotekę za wysoką cenę od osławionego Firkowicza. Obecnie okazało się, że zbior Firkowicza nie jest tak starym, za jaki go miano przy nabyciu i że większość rękopismów fałszowana. Dotąd jeszcze trwa spor pomiędzy petersburgskimi hebraistami. Prof. Chwolson, który pośredniczył przy nabyciu tego zbioru dotąd obstaje za autentycznością; a Dr. Harkavi teraźniejszy zawiadowca oddziału oponuje temu dowodzeniu.

Jeden krok od hebrajszczyzny, a jesteśmy już w sali rękopismów, zakątka stanowiącego najdroższą część biblioteki. Dla tego to w tem miejscu umieszczono portrety braci Załuskich, a w pendant do nich Suworowa i Paskiewicza. Zarząd biblioteki zwraca szczególną uwagę na ten oddział i zawiaduje nim sam dyrektor J. Eks. p. Byczkow. Według ustawy biblioteki żaden rękopism nie może być wyniesionym po za obręb biblioteki bez specyalnego zezwolenia na to monarchy. Nie przeszkadza to jednak uczonym zakładom, po za Petersburgiem korzystać z tych zbiorow. Biblioteka stara się zawsze uzyskać zezwolenie i wysyła rękopisy nawet za granicę, po zachowaniu przepisanych formalności. Materjału dla historji polskiej biblioteka posiada bardzo wiele. Polscy uczeni nieraz o tem pisali, a przed kilku laty uczony morawianin O. Dudik dał nieco obszerniejsze o tem sprawo-

[1]) Egzemplarz Miechowski niema tytułowej karty i odrazu zaczyna się z Przedmowy ad sanctissimum ac beatissimum Pium secundum. Na ostatniej karcie u dołu: Johannis de Turrecromata cardinalis sancti Sixti vulgaliter nuncupati explanatio in Psalterium Cracis impressa. Roku wydania niema, jak również i imienia drukarza. Poczem dopisano cynoborem: Et comparato per fratrem Andream cruciferum monasterii miechoviensis ordinis sacrosancti sepulcri dominici Jerosolimitoni... in Przeworszko sub regula sancti Augustini cantoris chori... monasterii miechoviensis anno domini m° cccc° LXXVI°. — Kart nieliczbowanych 149. Karta 48 jest podwójną i przyklejona na końcu egzemplarza. Egzemplarz z klasztoru na Łysej Górze zupełnie odpowiada wyżej opisanemu, niema tylko przypisku.

zdanie (Historische Forschugen. Wien 1879). Co jest godnego obejrzenia ciekawemu widzowi, biblioteka wyłożyła w witrynach, rzeczy obchodzące uczonych złożone są w szafach. Największą perłą tego zbioru jest najstarszy tekst grecki całej biblii, znany pod nazwą Codex Sinaiticus. Kodeks ten znajdował się kiedyś w klasztorze na Górze Synaj i tam był nieraz oglądany przez uczonych. Rządowi rosyjskiemu udało się wydostać go na własność i obecnie stanowi on największą ozdobę działu rękopisów biblioteki. Drugie po nim miejsce należy się Ewangelii starosławiańskiej, nazwanej imieniem Ostromira (Ostromirowo Jewangelje). Kodeks pochodzi z lat 1056—1057 i przepisany w Nowogrodzie przez diakona Grzegorza dla posadnika Ostromira. Do biblioteki kodeks dostał się z gabinetu Katarzyny II. Członek honorowy biblioteki Gołubkow ofiarował 3000 rubli na oprawę. Obecnie pewien kupiec złożył pieniądze na sporządzenie fotolitografji z całego kodeksu. Robota fotograficzna odbywała się w bibliotece i już jest ukończoną. Cały rękopism pisany jest cyrylicą. Biblioteka ma również najstarszą ewangelją pisma głagolskiego, otrzymaną w podarunku od klasztoru Zografos na Athosie (Zografskoje Jewangielje). Obok z chrześcjanskiemi relikwijami mieści się słynny Koran Samarkandski największa relikwija muzułmańskiego świata.

Wystawy tej sali obfitują w najcenniejsze rzadkości rękopiśmienne. Szereg autografów wieńczy tę wystawę. Na jednym arkusiku widzimy list pisany do cesarza Józefa II. z podpisem Louis i Marie Antoinette. Jest tu kajet z ćwiczeniami kaligraficznemi Ludwika XIV., a w nim razy ze dwadzieścia przekaligrafowane zdanie: «l'hommage est du aux roiss; ils font ce qui leur plaist.» Z wielką troskliwością biblioteka zgromadziła autografy panującego domu cesarskiego w Rossji, poczynając od protoplasty dynastyi Romanowów Patriarchy Filareta. Do rzędu osobliwości wliczonym został jedyny egzemplarz «Podorożnej,» wydanej «Po Ukazu» Jego Cesarskiej Mości Konstantego Pawłowicza. Nie mamy zamiaru wyliczać dalej szeregu rzadkości tej sali i odsyłamy ciekawych do obejrzenia ich na miejscu.

W tejże sali przechowuje się księga. do której odwiedzający wpisują swe nazwiska. Pierwszy podpis jest cesarza Aleksandra I. Do liczby ostatnich należy podpis księcia Arcybiskupa Warszawskiego Metropolity Popiela, położony w czasie ostatniego pobytu Arcypasterza w Petersburgu dnia 3/15 Maja 1883 roku. (Wincentius Popiel Archiepiscopus Varsaviensis).

Ztąd wychodzimy napowrót do sali ze starosławiańskiemi drukami i z niej wstępujemy do obszernej sali podłużnej, dawnej czytelni, oddanej obecnie pod wydział nauk przyrodniczych, którym zawiaduje p. Keppen. Witryny zajęte są przez najdawniejsze druki cyrylickie. Po lewym ręku prawie u wyjścia z sali wystawione są krakowskie cyrylickie druki Fiola z r. 1491: Czasosłowiec, Psałtyr' sledowannaja, Triod' cwietnaja i Triod' postnaja. Dalej następują wydania weneckie z lat 1519—1572, cała serja wydań południowo-słowiańskich. Jest tu i czeska biblia Fr. Skoryny z r. 1516 w bardzo pięknym egzemplarzu, jakiego nam nigdzie nie zdarzało się widzieć. Wydania wileńskie, lwowskie i drukarń białoruskich zajmują bardzo pokaźne miejsce. Nareszcie wydania moskiewskie (1564—1661 r.) i peterburgskie dopełniają ten zbiór, ktory zawiera w sobie około 300 dzieł. Oddzielne miejsce honorowe zajmuje pierwszy druk moskiewski, wydrukowany 1 Marca 1564 roku przez Mikołaja Hostuńskiego, Iwana Fiodorowa i Piotra Mstisławca: Dzieje Apostolskie.

Przy wyjściu z sali napotykamy u drzwi po lewym ręku instrument astrologiczny, na którym miał Wallenstein w dzień śmierci swojej wnioskować o losie swoim, łudząc siebie stanowiskiem pomyślnem Jowisza. Wielka księżna Helena Pawłówna kupiła ten przyrząd w Czechach, opierając się na dokumentach wiarogodnych, stwierdzających pochodzenie przyrządu od Wallensteina.

Następnie sala jest dalszym ciągiem oddziału nauk przyrodzonych i tu zamieszczono biust Humboldt'a. W tej sali niegdyś przesiadywał znakomity bajkopisarz rossyjski Kryłow, który aż do swej śmierci (1844) zarządzał wydziałem ksiąg rossyjskich.

Obok mieści się oddział belletrystyki w językach cudzoziemskich. Oczywiście ma swe tu miejsce i literatura polska, która dzięki staraniom obecnego wice-dyrektora biblioteki p. Majkowa zaczyna się przyprowadzać do porządku i można spodziewać się, że za parę miesięcy zostanie skatalogowaną. Z tego odziału dzieła wydają się za specjalnem zezwoleniem dyrekcji, zawiaduje nim p. Bonnel, nauczyciel matematyki.

Po wyjściu z sali belletrystyki przechodzimy przez sień biblioteczną i wkraczamy do długiej sali, w której po prawej stronie rozlokowali się klasycy starożytni, a po lewej znalazła miejsce literatura ludów wschodnich, którą się opiekuje p. Smirnow. Wzdłuż sali na przestrzeni 105 stóp ciągnie się wystawa biblij we wszystkich znanych językach. Biblioteka do tego zbioru starała się wydostać najcenniejsze wydania pisma św. pod względem drukarskim. Przedstawicielką literatury polskiej jest biblia Leopolity z r. 1561. Oto ciekawsze okazy: Łacińska Wulgata w wydaniu Guttenberga około r. 1450, która jest uważaną za pierwsze wydanie biblii, drugie wydanie mogunckie Fausta i Schoeffera na pargaminie z 1462 r.; biblia niemiecka 1466, francuzka 14/7, holenderska 1477, czeska 1488 itd. Obok najdawniejszych wydań znajdujemy również i najnowsze, jeżeli się one odznaczają zaletami wybitnemi wydawnictwa. Cały ten szereg zamyka paryzkie wydanie Tomasza a Kempis: o Naśladowaniu Chrystusa, umieszczone w wyłącznie na ten cel urządzonej witrynie i postawione przed portretem Cesarza Aleksandra I. Biblioteka posiada dwa egzemplarze tego arcydzieła sztuki drukarskiej. Wydanie to dokonanem zostało na koszt rządu francuzkiego w czasie wojny krymskiej. Napoleon III. rozesłał po egzemplarzu do wszystkich dworów mu przyjaznych. Rossja na ten czas prowadziła wojnę z Francją i nie otrzymała daru. Biblioteka więc sama kupiła egzemplarz za 6000 franków. Po ukończeniu wojny i zawarciu traktatu paryzkiego Napoleon III. przesłał egzemplarz i Rossji. Ztąd biblioteka posiada 2 egzemplarze.

Przesunąwszy się po za portretem cesarza Aleksandra I. znajdujemy się w oddziale starożytności drukarskich nazwanym *incunabula.* W myśl barona Korfa starszy bibliotekarz dr. Münzlow z wielką znajomością rzeczy urządził ten zakątek. W pierwszej sali zaraz po lewej stronie mamy stare druki od 1490—1500 r., a vis a vis ich sławne Aldy i Elzewiry. Dr. Münzlow zebrał tu co było najdroższego i najcenniejszego w wydaniu Aldów, tak, że biblioteka posiada obecnie większą część tego co oni wydali. Wydań Elzewirów biblioteka posiada około tysiąca i to rzeczy najcenniejszych. Wszystko co miało wartość drugorzędną usunięto ztąd. Aldy i Elzewiry mieszczą się w pięknych lekkich szafkach zamkniętych siatką drucianą. Szafki te się usuwają i za niemi się skrywa oddział zwany *erotica.* W tym potajemniku nie wielu jest przedstawicieli swawolnej muzy, gdy inne biblioteki zagraniczne w nie obfitują.

Dla ukończenia przechadzki po bibliotece, pozostaje nam ztąd wstąpić jeszcze do małej salki, urządzonej w stylu średniowiecznym, na wzór bibliotek klasztornych. Wszystko tu oddycha staroświeczyzną, nic niema takiego, coby przeszkadzało złudzeniu, chyba, że przypadkiem przez kogoś pozostawione arkusiki facsimilów z Monumentów Bielowskiego zdradzały wiek, w którym jesteśmy. Urządzenie sali dokonano z archeologiczną znajomością i artystycznym zmysłem. Księgi zebrano najstarsze, żadna z nich nie przekracza po za rok 1500, a jest ich około 7000. Złożyły

się na to najrozmaitsze klasztory, a klasztor Miechowski Bożogrobców i Święto-Krzyzki na Łysej Gorze zajmują w nich pierwsze miejsce. Te same księgi, które przed 400 laty brat Andrzej z Przeworska przyniósł do Miechowa, obecnie z woli losu spoczywają spokojnie, dzięki pieczołowitej opiece dyrekcji biblioteki w temże otoczeniu, w jakiem się niegdyś znajdowały. Na obejrzeniu sali inkunabułów kończą zwykle przechadzkę po bibliotece, na niej i my zakończymy naszą luźną notatkę.

II.
METRYKA LITEWSKA. [1]

W r. 1795 przywieziono z Warszawy do Petersburga razem z biblioteką Załuskich metrykę koronną i litewską, z wyjątkiem tej części aktów, która się tyczy prowincji odpadłych do Austrji. Jednocześnie dostarczono do Petersburga niektóre rękopisma nie mające związku z metryką, jak naprzykład, protokóły Rady Nieustającej i nowsze dokumenta. Metryka wraz z biblioteką przeszły do «Gabinetu Cesarskiego», a w roku następnym wyszedł rozkaz oddania metryki koronnej i litewskiej w części do senatu, a w części do kolegium zagranicznego. Wyznaczona do tego komisja postąpiła według rozkazu z dnia 11 Pazdziernika 1798 roku — część oddaną została do senatu, a cześć do kolegium zagranicznego, zkąd w r. 1828 przewiezioną została do Moskwy, do głównego archiwum ministerium spraw zagranicznych. W senacie niedługo pozostawała metryka w stanie, w jakim ją przywieziono. W rok potem zwrócono rządowi pruskiemu metrykę koronną i kopje metryki litewskiej co po zawarciu pokoju w Tylży (1807) zwrócono z Berlina do archiwum głównego Królestwa Polskiego w Warszawie. Oprócz tego w r. 1808 część spora aktów metryki przeszła do biblioteki publicznej. W takim stanie metryka pozostaje do chwili obecnej i akta metryki koronnej i litewskiej są obecnie: w Warszawie, Petersburgu, Moskwie, w Prusach i Austrji.

Taki to był los metryk po pierwszem ich wywiezieniu z Warszawy. Teraz zdajmy sobie sprawę z tego, co to jest metryka litewska i co ona zawiera w sobie.

* *
*

Metryka litewska *(Metrica Magni Ducatus Lithuaniae)*, również jak i metryka koronna, zawierała w sobie dokumenta oryginalne i księgi, do których zapisywano wszelkie akta przechodzące przez kancelarję książęcą. Część metryk przechowywaną była w skarbcu na zamku krolewskim, część znajdowała się zawsze przy królu *(post aulam ambulatorium)* i wraz z nim przewożono ją z miejsca na miejsce. Otóż to, powiadają, że w r. 1444 część tego archiwum zginęła razem z Władysławem pod Warną. Podanie to dotąd, o ile nam wiadomo, nie zostało sprawdzonem i ocenionem krytycznie.

Królowie polscy otaczali metrykę osobliwemi względami i ztąd mamy cały szereg konstytucyj, tyczących się metryk. Zygmunt Stary na sejmie w Piotrkowie (roku 1538) postanowił, aby księgi metryk prowadzone były z jak największą skrupulatnością i były przechowywane z wielką troskliwością. Z tego powodu poruczono je opiece kanclerza i wice-kanclerza, którzy powinni mieć pisarzów przysięgłych *(scribas juratos)* dla zapisywania do ksiąg przywilejów, zeznań, dekretów i innych ważnych dokumentów, a to w tym celu, aby na wypadek zguby jakiego aktu, można było zrobić wypis, poświadczony i zatwierdzony krolewską pieczęcią (*Vol. Legum* I. 528). Do czasów Zygmunta Augusta dokumenta starsze znajdowały się w archiwum krakowskiem, rozrzucone bez żadnego porządku; z polecenia tego krola, Marcin Kromer przystąpił do uporządkowania archiwum. Wypełnił swą pracę z wielką starannością. Naprzod rozklasyfikował akta według prowincji z zachowaniem przytem porządku chronologicznego. Dalej na odwrocie każdego aktu oryginalnego podał treść jego własnoręcznie i nareszcie ułożył oddzielne regesta dokumentów. Oryginał opisu archiwum krakowskiego, dokonanego przez Kromera, znajduje się w Moskwie w archiwum głownem ministerium spraw zagranicznych. Całość zawiera kart 227, oprawa współczesna — deski w skórze.. Część zawierająca opis dokumentów, odnoszących się do Litwy, wydrukowana u Daniłłowicza. [1])

Ciąg dalszy nastąpi.

KOTECZKA.

(„La chatte").

Czego budzisz twoją panię
Krzykiem swym, koteczko?
Czy mię prosisz o śniadanie?
Mam dla ciebie mleczko!..
Może myszka w kątku szpera?..
Nie!.. ku oknu wciąż spoziera
Biała ma pieszczotka...
Cóż cię ciągnie w to okienko?..
„Miau! miau!.. Puść mię panienko,
„Miau! miau!.. do kotka..."

Et, — przerywasz mi robotę!..
Przestań już się łasić!..
Wstyd mi za cię: chcesz niecnotę
Przymileniem krasić!..
Lecz... i ja, gdy sama siedzę,
To mi z serca, mimo wiedzę,
Tęskna płynie zwrotka...
I wyglądam do okienka...
Miau!.. miau!.. bo chce panienka
Miau!.. ujrzeć kotka!..

O, i ja mam kotka swego:
Często tu przychodzi...
Jakże tęschno mi bez niego,
Gdy mu coś przeszkodzi!..
Chciałabym doń wzlecieć muszką!..
A gdy idzie, — to serduszko
Bije, nakształt młotka...
I uciekam od okienka,
Miau!.. miau!.. choć chce panienka
Miau!.. ujrzeć kotka!..

O, koteczko niepoczciwa!..
Bóg wie jakie chęci
Ta tęschnota twoja skrywa!..
Ot, — ja mam w pamięci,
Że on rączkę moją ściskał...
Że gdy wzajem uścisk zyskał, —
Nazwał mię „pieszczotka..."
Lecz to mało!.. Myśl się lęka,
Miau!.. że więcej chce panienka
Miau!.. pieszczot kotka!..

[1]) Ustęp niniejszy zapożyczamy za zgodą redakcji „Kraju" (1882 Nr. 21), porobiwszy w nim własne zmiany i dopełnienia. S. P.

[1]) *Kniga posolskaja Metryki Wielikago Kniażestwa Litowskago, izdana Kn. Obolenskim i prof. Daniłowiczem. Moskwa 1843 I. 455—460.*

Ale — oto on nadchodzi...
 Jakże serce bije!
Jeszcze ujrzy!.. Och, ci młodzi:
 Im się nic nie skryje!..
Nie!.. otulę się chusteczką!..
Jeszcze łasisz się koteczko?
 Bierze mię ochotka
Już uchylić ci okienka...
Miau!.. puści cię panienka
 Miau!.. miau!.. do kotka!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

MELINA.

Szkic z natury wzięty p. G. Hermsteina.

Dokończenie.

Najpierw trzeba było obydwóch asystujących lekarzy o osobistości nieznajomej poinformować, naturalnie bez wymienienia jej nazwiska, tak okrutnie zapoznanego! Dahlmann miał ją za awanturnicę, która z powodu chybionej spekulacji — Kunc za aktorkę, która z nieszczęśliwej miłości—życie odebrać sobie chciała.

Dlaczego właśnie zaszli w labirynt tak oddalonych od rzeczywistości przypuszczeń sami prawdopodobnie nie mogliby wyjaśnić,—nietylko kobiety w wyjątkowych wypadkach są skłonne do awanturniczych hipotez. Radca powiedział im, że młoda osoba pochodziła z dobrej familji, że ojciec jej, którego znał dawniej był znakomitym muzykiem (mówiąc prawdę, poczciwy starowina rzekł nawet zgodnie z przesadną pochwałą córki: jednym z najznakomitszych kompozytorów tegoczesnych), że rozdrażniła sobie nerwy dawaniem lekcyi na fortepianie, przytem udręczona ubóstwem, a więcej jeszcze śmiercią matki powzięła smutny zamiar zakończenia życia. «Co do domniemania twego kochany Dahlmanie — mówił — dotyczącego choroby umysłowej mogę wyznać tylko, iż rzadko zdarzyło mi się spotkać głowę z jaśniejszem objęciem.»

— Pan wiesz, panie radco, że chorzy umysłowo posiadają niepodobną do wiary sztukę maskowania się — odparł sucho lekarz obłąkanych.

Stary jegomość roześmiał się. — «Wiem — wiem. — Obserwuj ją ile sumienie nakazuje, ale gdy uznasz ją za obłąkaną, wtedy śmiało możesz ludzkość całą zagarnąć pod swą opiekę.»

Wzmianka radcy o sławnem imieniu Meliny nie chybiła celu, położenie jej zmieniło się znacznie. Dla chirurga młoda dziewczyna z przedmiotu litośnego zajęcia, stała się osobą, której cześć i uszanowanie się należy, dla lekarza zagadką tem ponętniejszą, iż przy rozwiązaniu tejże, ponieważ widocznie u szefa jego była «persona gratissima» musiał postępować z podwójną ostrożnością. Dozorczynie przestały ją pilnować.

Prawo «obserwacji» pozwalało doktorowi Dahlmann ile razy chciał wchodzić do chorej, co psuło humor Dra Kunca, ale nie mógł temu przeszkodzić; przecie raz rzekł przed drzwiami: «musisz w zakładzie swoim nie wiele mieć do czynienia, skoro tak często możesz przychodzić i godzinami całemi siedzieć u panny Meliny.»

Imię jej wymówił kiedyś radca w obecności lekarzy.

—Mam obecnie sześciu tylko pacyentów, a ty trzydziestu ośmi, dlatego, że prawie zawsze tu cię znajduję, podziwiam twój podział czasu — odrzucił Dahlmann.

Zaraz na drugi dzień Dr. Kunc swojej pacyentce przyniósł książki dla skrócenia jej nudnych chwil rekonwalescencji. Wybrała naprzód dziennik Börnego i z wdzięcznem spojrzeniem na młodego lekarza rumieniejącego się z radości, rzekła: «Wielką sprawiłeś mi pan przyjemność swą grzecznością.» Z tęsknem uśmiechem przerzucała kartki w zeszycie. «Lubię Börnego — mówiła, łączy on idealizm Jana Pawła z dowcipem Heinego. Używa porównań, które mnie zachwycają, może dlatego, że sama nie posiadam podobnych zdolności. Takie zdania jak «Swiat jest zwierciadłem, co weń patrzy odbija się — oddaje tylko to co mu pożyczono, nie dziękuje promieniem nędznego czynszu... takie zdania powinno się umieć na pamięć, aby w ciemności módz je sobie powtórzyć.»

W kilka dni później Dr. Dalhman zastał ją czytającą Szepspira w oryginale.

— To nie jest lektura dla młodej damy — rzekł.

— Nie jestem młodą damą — liczę sto lat — odparła nie przerywając czytania.

— O! to wybornie zakonserwowałaś się łaskawa pani! zawołał, a ponieważ oczy jej zwrócone były w książkę, nie widziała jakie gorące spojrzenie tym słowom towarzyszyło.

Nienawidziła go. Urok Don-Żuana, który lubił na niedoświadczonych kobietach i dziewczętach wywierać, na niej, w wielu względach nieskończenie naiwnej,ześliznął się bez skutku. Ale to właśnie podniecało go. Unikające spojrzenie, umyślne zupełne ignorowanie jego obecności, gdy czytała lub interesującą główkę czerwoną zagłębioną w myślach podparła zabandażowaną dłonią, wszystko zachwycało go. Mimo to celu swego nie spuścił z oka. Wyrażenia, z któremi występowała w jego przytomności niekiedy nader parodoksalne notował skrupulatnie; widziała to, przeczuwała pobudkę skłaniającą go do tego i śmiała się pogardliwie. Czasem gorliwość ta przywoływała żart złośliwy z jej strony, niespodzianie robiła jakąś ekscentryczną uwagę, pytając najspokojniej czy ma mu ją podyktować.

— Dziękuję, szczycę się dobrą pamięcią — odpowiadał za każdym razem niedbale.

— Jesteś pan przynajmniej uczciwym obłudnikiem — przyznała.

Już dwanaście dni Melina była w szpitalu. Rana na sercu zaczynała się zabliźniać, a stawy u rąk goiły się prawidłowo choć powoli. Dzisiaj pierwszy raz na życzenie radcy medycznego miała wstać z łóżka. Pani Sey, której wyłącznie poruczono Melinę, obsługiwała ją, splotła jej grube falujące włosy czerwone i związała w węzeł grecki na karku, poczem włożyła jej suknię i właśnie chciała się oddalić, gdy Dr. Dahlman wszedł do pokoju. Omal nie wykrzyknął z zdumienia i zachwytu tak był zdziwiony wysoką królewską postacią, która stała przed nim, po małej główce wyobrażał sobie Melinę o wiele niższą.

— Proszę — chciej pan zapukać nim wejdziesz — rzekła surowo.

— Jak wasza wysokość rozkaże — odpowiedział. Mógł był dodać: «Nie było to dotąd w zwyczaju w szpitalu miejskim,» ale strzegł się tym razem obrazić dumne wspaniałe stworzenie.

Chciała koło niego przejść do okna. Ale czy to rana ją zabolała, czy słabość wycieńczyła zbladła raptem i byłaby usunęła się na ziemię, gdyby lekarz obydwoma rękami nie podtrzymał jej.

— «Do okna!» szepnęła prawie bezwiednie, zwolna niósł ją tam więcej niż prowadził, poczem otworzył szybę, ażeby wpuścić nieco świeżego powietrza. Przyszła zaraz do siebie, skinęła, żeby zamknął lufcik, gdyż zimno przejmujące cisnęło się do wnętrza i opadłszy głowę o krzesło wyrzekła obojętnie: dziękuję.

— Gdybym tu nie był obecnym — zauważał z ironiczną powagą, byłabyś pani upadając na kancie stołu skronie rozmiażdżyła!

Po raz pierwszy przy Dahlmanie zapomniała o sobie zajmując się treścią słów: podniosła na niego oczy — te zagadkowe tęskne oczy i uśmiechnęła się.

Dreszcz przebiegł mu po ciele. Przez chwilę sądził on, który tak bezsumiennie igrał z okrutnem przepuszczeniem, iż w tem spojrzeniu i w tym dziwnym uśmiechu prawdziwe szaleństwo dostrzega, ale tylko przez sekundę, gdyż poznał zaraz, iż tam coś więcej, coś groźniejszego dlań znajdowało się, zdawało się jakby duszy tej nagle skrzydła urosły, jakby nic już nie mogło ją w locie zatrzymać.

— Melino! zawołał z uczuciem.

Oprzytomniała. Gniewnie ściągnęła delikatnie zarysowane brwi i z zupełnie zmienionym wyrazem w oczach rzekła.

— Nie jestem dla pana Meliną, lecz panną — przestraszona wstrzymała się.

— Panną, jaką? — spytał żywo.

— Żadną — nikim..... panną Nobody — zauważała uspokojona już.

— Nie jestem polypem, któryby dał się złudzić tem słowem. Zatem wolę zostać przy pannie Melinie, choćby dlatego, że imię jest tak znaczące, Jest bowiem widocznie skróceniem Meluziny, widzisz pani poznaliśmy cię.

— A jednak tak starannie ukrywałam ogon rybi! zawołała z szyderczem pożałowaniem.

— O! ogon sam nic nie znaczy! Gdy są jeszcze lśniące włosy syreny, nadziemsko błyszcząca cera, morskie oczy, krótko:

Poznałem ciebie na pierwsze wejrzenie
Z szyderczych dygów, z lica,
Nie jesteś człowiek ni ziemskie stworzenie
Lecz ciotka-topielica.

Ruszyła ramionami.—Mogę więc odpowiedzieć dalszemi słowy poety:

Ty jesteś bratem syreny, w wód cienie
Wabisz wsiowe piękności
Poznałam ciebie na pierwsze wejrzenie
Po zębach jak ryb ości.

Wzięła książkę leżącą na oknie i nie zważała więcej na niego.

On rozbawiony oparł się o stół. Jej czytanie, przytem sposób okazania go tylko przy okoliczności w szybkich replikach był zdumiewający. Patrzał na nią pożądliwie. Jak nieoszlifowana kość słoniowa połyskiwały powabne ramiona dziewczyny z pod draperji czarnych koronek, profil lekko schylony odbijał się uroczo na tle szyb... Dahlmann raptem przypomniał sobie talent z lat chłopięcych, wyjął notesik i zaczął ją rysować. W przekonaniu, że spisuje poprzednio powadzoną rozmowę Melina czytała spokojnie nie poruszywszy się; ale gdy po chwili z szyderskim uśmiechem pokazał jej książkę i dziękował, że pozowała mu tak uprzejmie, zaczerwieniła się z gniewu.

— Panie doktorze — zawołała — gdy nie mogę obronić się, abyś mnie nie fotografował moralnie, wypraszam sobie jednak podobnych prób fizycznych.

Delikatne jej nozdrza drżały z wzruszenia, tem więcej, że nie mogła zaprzeczyć, iż w szkicu portretowym było pewne podobieństwo. On zamknął książkę z namysłem i ukrył ją na piersi.

— Z każdego ruchu królowa! rzekł — polecam się łaskawym względom i z głębokim ukłonem wyszedł, żeby w tym dniu więcej się nie ukazać! Następnego poranku w imieniu żony radca medycyny prosił Melinę, aby u nich jako pożądany gość zamieszkać chciała, dopóki odpowiedniego miejsca dla niej się nie znajdzie. Młoda dziewczyna była głęboko wzruszoną, podziękowała miękkim głosem za tyle uprzejmości, ale nie oświadczyła czy zaprosiny przyjmuje. Rozumiało się to samo przez się i stary jegomość życzył sobie, żeby zaraz jutro rano po konferencji przeniosła się z szpitalu.

— O! proszę, tylko nie tak wcześnie! wyjękała z lękiem Melina.

— Konferencję oznaczę na pierwszę godzinę — zgoda?

Skinęła.

— Bon — jutro aż panią zobaczę znowu, zauważał podnosząc się.

— Zatem dziękuję serdecznie za dobroć pańską i... i... proszę polecić mnie swej małżonce. Nie sądziłam, że są tak dobrzy ludzie na świecie.

— Widzisz więc pani jakby to było nierozsądnie tak miły świat opuszczać — mówił wesoło. Wiedziałem dobrze dlaczego czternaście dni wymówiłem sobie u pani, musiałaś mieć czas do rozwagi, co u ludzi znużonych życiem zawsze miało dobry skutek. Do widzenia moja kochana pupilko!

Podał rękę Melinie, ona pochwyciła ją i szybkim ruchem, który wyglądał jak wyraz wdzięczności, to jak dziecięce przeproszenie schyliła się i przyłożyła do niej usta z pokornym pocałunkiem.

— Żegnam pana — panie radco! rzekła niepewnym głosem.

Stary jegomość nie chciał okazać wzruszenia. Cóż znów! mruknął i wyszedł szybko z pokoju zostawiając Melinę wstrząśniętą do głębi.

Obydwaj asystujący lekarze planu radcy nie pochwalali zupełnie. Dr. Kunc twierdził, że młoda dziewczyna była jeszcze za słabą do przesiedlenia, a Dr. Dahlmann oświadczył prawie porywczo, że właśnie teraz obserwacyj swych przerywać nie może.

Stary jegomość zacierał z zadowoleniem ręce: Będziesz je mógł w moim domu kontynuować najlepszy Dahlmannie! zawołał — i ty kochany Kunc przezemnie bandażuj także dalej delikatne rączki, żona moja zpewnością ucieszy się tem poznaniem.

Zakończyły się więc zajmujące pogawędki we dwoje! Z smętnem obliczem Dr. Kunc poszedł do Meliny, wzdychał głęboko, gdy odnawiał jej bandaż na ręce, mówił o próżni panującej odtąd w szpitalu, o pięknych dniach minionych i dziwił się po cichu, że młoda dziewczyna na to wszystko odpowiadała tylko lekkim uśmiechem, który graniczył z roztargnieniem. W zazdrosnem wzburzeniu przepisywał te okoliczności, iż Dahlmann, który zawsze regularnie po konferencji przychodził, dziś nie ukazał sie.

— Kolega mój właśnie musiał się udać na wieś w śledztwie dotyczącem specjalności jego, było mu to bardzo nieprzyjemnie — odpowiadał patrząc na nią badawczo.

— Dlaczego? spytała obojętnie.

Dlaczego? Byłażby taką wyrafinowaną mistrzynią w udawaniu lub czyż w istocie nie miała żadnego przeczucia w rzeczach artis amandi, że tonem takim pytać może? Kunc przypatrywał się pacyentce z wielką powagą. — Dlaczego? Gdyż pani dziś ostatni dzień tu przebywasz—rzekł po małej pauzie szczerze.

— Tak! zauważała Melina naiwnie.

Każda inna odpowiedziałaby: «Pewnie będzie mu to obojętnem.»

Ona nie; była tak szlachetną i prawą, iz przez to jedynie obydwaj młodzi lekarze zbadać ją nie mogli. Któż dzisiaj w czasie kłamliwych obyczai i wydelikaconego fałszu wierzy w prostotę serca!

Dr. Kunc zamyślił się i teraz; jak była, tak pozostała dziwną nieodgadnioną istotą! Ale Dahlmann także nie postąpił dalej, nic nad to uznanie nie rozwiązał, co przynajmniej go pocieszało.

Przed wieczorem Melina kazała przynieść swe rzeczy, które właściciel hotelu odesłał. Był to strój podróżny i mała zamknięta torebka, klucz od niej oddano jej w zapieczętowanej kopercie. Otwarla ją porywczo, w torebce znajdowało się wszystko czego szukała: pieniądze, kilka chustek do nosa, notesik i ozdobny sztylet, który kupiła wychodząc po raz pierwszy i ostatni do miasta, gdyż lękała się, żeby znak fabryczny na nożu nie zdradzał jej ojczystego miejsca.

Wyjęła sztylet i oglądała go uważnie, ciemne plamki tu i owdzie pokrywały elegancką klingę stalową, wspomnienie Bożego Narodzenia, które przed czternastu dniami w tak szczególny sposob obchodzić zamyślała.

Machinalnie obtarła plamki cienką chusteczką, a wtedy znowu żywo stanęło jej w pamięci wszystko, co skłoniło ją do samobójstwa, ciężkie zmartwienie, troska o chleb codzienny, natężenie sił, żeby chorej matce najniezbędniejsze potrzeby zaspokoić, przytem męczące wysilenie zachowania przynajmniej na zewnątrz pozoru przyzwoitego, w końcu niepocieszona straszna samotność po śmierci matki i jedyny cel życia nauka gry na fortepianie, zawsze tylko lekcje — lekcje — jako jedyny środek wegetowania z dnia na dzień.

Dawno opuściła nóż i chustkę i smutno patrzała na ścianę czyli prosto, dalej w nieskończoność. W nocy nie zmrużyła oka.

Jak zwykle nazajutrz rano ukazał się Dr. Kunc. Przyniosł Melinie kilka fiołków oczywiście z cieplarni, lecz wonialy tak wiosną i słońcem, że młoda dziewczyna, gdy lekarz się oddalił z gorzką tęsknotą na nie spojrzała. Kwiaty, miłe, śmiejące wyobrażenie wesołego życia ofiarował jej dziś właśnie! Słabość ją opanowała, usiadła na najbliższym stołku, kryjąc zalane łzami oczy w obydwóch dłoniach.

Nie widziała jak otwarły się drzwi i Dr. Dahlmann znowu nie zapukawszy wcisnął się cichutko. Zdziwiony i niepewny minutę stał na środku pokoju. Płakała? łzami pożegnania? a pewnie nie za nagiemi ścianami pokoju szpitalnego, ani za dobrotliwym miękkim jasnowłosym Kuncem. Szybko zbliżył się ku niej. Obydwoma rękami objął jej kibić, a kiedy przerazona podniosła głowę, przycisnął ją lewą ręką do piersi, podczas gdy prawą trzymał odpychające go małe rączki i schyliwszy się przycisnął swe pożądliwe wargi do jej ust.

— Kocham cię Melino! szepnął namiętnie.

Przytłumiony wykrzyknik wstrętu był jej odpowiedzią. Nadnaturalną siłą uwolniła się z ramion jego i stanęła naprzeciw oddychając głęboko. Nie mogła przyjść do słowa, a obwiązane ręce przyciskała do serca jakby chciała powstrzymać rozpęknięcie tegoż. W końcu otwarła blade usta, lecz nie do ostrych wyrzutów, jak się spodziewał, tylko do dziwnego uśmiechu.

— Odpowiem panu za godzinę, panie konsyljarzu — rzekła mozolnie — zostaw mnie pan samą.

— Cóż pani zamyślasz? spytał niedowierzająco.

— Bądź spokojny doktorze, nie ucieknę panu — daruj mnie pan tylko tyle czasu — mówiła wskazując prosząco na drzwi.

Zmarszczył brwi, ale wyszedł nie wyrzekłszy słowa.

Właśnie wybiła dwunasta, wyrachował minuty i za godzinę poźniej kroczył korytarzem. Spotkał tam jednak ku niemałej zgryzocie radcę medycznego i Dra Kunca, którzy takze szli do Meliny; nie pozostało mu nic innego jak do nich się przyłączyć. Prawie jednocześnie wstąoili do pokoju, razem też wydali okrzyk zgrozy — — na łóżku leżała Melina bez duszy. W jednej ręce trzymała kurczowo zmięte fiołki, w drugiej sztylet. Ani łóżko, ani suknie jej nie były zgniecione, musiała umrzeć bez walki, natychmiast; stało się co w wigilję Bożego Narodzenia przepowiedziała, trafiła drugi raz lepiej.

Staremu jegomości zadrżały kolana. Pozostawiwszy obydwom śmiertelnie bladym towarzyszom przewidująco beznadziejne zbadanie czy umarła istotnie, lub może jeszcze raz da się do życia powołać, usiadł przy stole. Sporzenie jego padło machinalnie na napisany papier i czytał.

«Panie radco! Dotrzymałam słowa. Czternastodniowego epilogu do jałowej tragedji mego życia nie skróciłam ani godziny.

«Ale dosyć już gry okrutnej; szczęście, że biedny aktor recenzyi więcej słuchać nie będzie. W znak wdzięczności serdecznej przyjmij pan pierścień, który ojciec mój tak lubił, że nawet w największej potrzebie z nim się nie rozłączył. Uprzejmej opiekunce mojej pani Sey zostawiam zegarek; panu Dr. Kuncowi lok, który dziś rano włożyłam w jego książkę, Dr. Dahlmanowi sztylet z uwagą, że ten przeniosłabym w każdym razie nad topielca Heinego. Bądź zdrow szlachetny mężu! żyj szczęśliwie jak na to zasługujesz.

Melina.»

Radca odczytał list najpierw po cichu dla siebie, potem głośno obydwom kolegom. Gdy Dr. Kunc usłyszał o splocie włosow — rzucił się na książkę, lok leżał pomiędzy pierwszemi stronnicami obwinięty w papier, na którym ołówkiem napisane były cztery słowa: Życie — cierpienie: Śmierć wyzwolenie. Wzruszony głęboko przycisnął papier z zawartością swoją do piersi. «Zostawiła mi zwój włosów swoich, a umarła z moimi fiołkami, kochała mnie!» — myślał i rzecz szczególna wzniosłe to przeświadczenie pocieszało go.

— Byłaby «w każdym razie» raczej umarła niż została moją! co znaczy widocznie, że nie miała siły oprzeć się mnie... kochała mię więc, słodka istota! rzekł Dr. Dahlmann i jakkolwiek dziwnie to brzmi, w myśli tej i on także znajdował pociechę.

BAKAŁARZ.

(„Le maitre d'école").

Ach, — ci malcy — to oszuści!..
Ledwie co zaświtał dzień,
Ledwiem oczy przetarł, — już ci:
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..
Trzeba ruszać do Alwara!..
To prawdziwa boża kara!..
Jabym ich batożył w pień:
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..

Dla osoby instruktora
Nie chcą znać respektu nic!..
Toż periculum in mora —
Z niemi człowiek zawsze fryc!..
Na nic wszelka dyscyplina:
Wczoraj — dwie butelki wina
Skradł mi któryś w biały dzień..
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..

Gdy ma Jejmość się ubiera, —
Wisus zawsze jest u drzwi...
Dziurką od klucza zaziera...
I z jej tuszy potem drwi!..
Co wam do niej, djable syny?..
Precz do książki, do łaciny!..
To mi urwis!.. Zbiję w pień!..
Dzeń-dze-leń-dzeń!.. Dzen-dze-leń..

Z Kasią mą szesnastoletnią
Romansują sobie precz!..
Jabym ją zapoznał z pletnią,
Bo studenckaż to jest rzecz?..

Ale — godna ma córeczka
Pieszczoch mamy... tedy sprzeczka
Z moją żoną cały dzień;
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..

Toż doprawdy — rzecz obrzydła,
Śledź nieponiów, niby cień,
Wiecznie rolę graj straszydła;
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..
Coraz mniej już mam ochoty
Karcić wszelkie ich niecnoty...
Lecz się który z Kasią żeń!..
Dzeń-dze-leń-dzeń! Dzen-dze-leń!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

SOSNOWIANIE.

Napisał Karol z Myślenic.

Górale a mieszkańcy miast w pojęciu Sosnowianów.

Gorále, gorále, gorále sałase,
Lepse nase pola, niźli wase lase,
Bo po nasych polach pszenisia się rodzi,
A po wasych lasach trzysta wilków chodzi.
(Sosnowice).
Nie kce panny z miasta boby mie zniscyła,
Jesce w łozku lezy, juzby kawe piła.
(tamże).

I.

Ciekawy i podziwienia godny to lud ten, który umie siebie należycie cenić i czuje swą własną godność; który kocha to wszystko, co go najbliżej otacza, ktory nie zapomina o przeszłości, lecz kocha ją i wspomina o niej, a marzy o przyszłości. Trudno spotkać te zalety w naszym polskim ludzie, trudno nawet spotkać tę ostatnią, bo wstrząśnienia i wypadki niedawne tak zdołały skrzywić, nawet przeistoczyć jego czystą i niewinną duszę, że dziś prawie zamarł on dla naszej pięknej przeszłości. Nie powiemy, żeby ona w jego pamięci zatarła się zupełnie, bo to jest niemożebnem, lecz pod wpływem demoralizującej potęgi, wszystko w przeszłości, co pierwej pośrednio go dotyczyło, zbrzydło mu i zobojętniało, rozpoczął życie nowe, choć niewiele odmienne od pierwszego, ktore już do historji należy. Wstręt ten nietylko do tych, ktorzy zamiast mu być ojcami odepchnęli go, lecz także do przeszłości wspolnej, wstręt ten, którego usunięcie jest zadaniem dzisiejszej oświaty, nie jest jednakowy u naszego ludu, są bowiem okolice, gdzie wieśniak nietylko wie, że jest Polakiem, lecz z chlubą wspomina stare polskie dzieje.

Wieś Sosnowice pod Kalwaryą, w obwodzie wadowickim położona, przedstawia choć w części pod tym względem wyjątek. Chociaż wyżej wzmiankowane wstrząśnienia polityczne tych stron nie ominęły, jednakowoż nie pozostawiły po sobie takich skutków, jak gdzieindziej. Ludek tu mieszkający jest dobry, poczciwy, spokojny, uzdolniony, pamiętający o kraju, a pod względem materjalnym dość zamożny. Niech nam ta krotka charakterystyka na teraz wystarczy, bo celem naszym jest przedstawić w małych zarysach wyobrażenia i pojęcia ludu sosnowskiego o góralach z jednej, a o mieście i mieszkających w niem z drugiej strony.

Otóż na samym wstępie powiemy, że Sosnowianie są w guście swoim bardzo wybredni i nieprędko im się co spodoba. Owszem lubią ganić i krytykować wszystko niewłaściwe, niezwykłe, odmienne, chociaż nieraz dość dobre i pożyteczne. Mają bystry rozsądek i władzę spostrzegania, a pod tym względem szczególnie kobiety celują. Cokolwiek niezwykłego zaraz podchwycą, wyśmieją, rozgłoszą, a często zabawną historję utworzą. Sami powiadają, że niema takiej rzeczy, którejby Sosnowianie nie podchwycili i nie wyśmiali. Górale są u nich przedmiotem śmiechu i zabawki, właśnie dla swojej odmienności i odrębności.

Sosnowianie, nazywając się Lachami, uważają za górali wszystkich mieszkających od Lanckorony i Kalwaryi het w góry. Znamieniem górala są krypce, gunia, serdák i chruśtáwka tj. czapka mająca kształt grzyba tej samej nazwy, po tem znać każdego górala, chociaż poznać go łatwo po mowie, po ruchach, w ogóle po wszystkiem. Według ich pojęcia górale są to ludzie bardzo głupi, nieporadni, śmieszni, tak dalece, że powstało przysłowie: «głupi jak gorál». Gdy np. ktoś się śmieje z niczego albo bezmyślnie patrzy, albo głupio mówi, przezywają go góralem («ty góralu»). Bardzo dużo śpiewek i powiastek o góralach krąży między sosnowskim ludem, a każda ma za cel wyśmianie tychże i przedstawienie ich głupoty. Oprócz znanej powszechnie śpiewki: «Góralu od Żywca itd.» przytaczam kilka np.:

Górálu fistaku, Kaśka ci umarła,
Niś sie ji kaduk stał, wcora kluski zarła?
Nie tak mi Kaśki żál, jak mi klusek luto. [1])
Jagbym nie zjád dzisiák, schowálbym na jutro;
Jagbym jutro nie zjád, schowálbym na wtorek,
Posedbym na pańskie, zabrálbym we worek.

albo:

Idzie gorál od Skawiny,
Niesie w troku oskrabiny.
Gorálicku moj kochany,
Dejze mi jik lá cerany!..
Cy jik sprzedám, cy nie sprzedám,
Nikomu jik darmo nie dám.

albo:

Śturu daj, śturu daj — niesie gorál syrki,
A zanios do Chrostka [2]), nie dali mu dziewki,
Dziewki mu nie dali, syrki mu zabrali,
Jesce go do tego kijem wyrypali,
Tak gorál uciekał, jaz mu kirpiec kwiekáł.

albo:

Jedny Krakowiánce niescęście sie stało,
Bo ji od radości serce popękało,
I przysed z gór gorál i serce drutowáł,
Drutować nie przestáł sám sie ozmiłowáł,
«Oj psysło niescęście na bidnego cieka
I mnie serce tsasło» — tak gorál narzyká —
Aż bidak do głowy po rozum pociągnon
I obydwa serca jednym drutem ściągnon.
A kiedy się zesły ranne częsci obie,
Druty popękały, a serca przy sobie —
I para zrośnientá dosyć i jes ładná,
Bo gorál niebrzydki, Krakowiánka ładná.
Ale terás gorál porzucił druciarstwo,
A za profesyją wzion sobie stolarstwo
I w rzemieśle nowem pracuje uparto,
Bo słychać, że robi kołyske juz cwártą.

Opowiadają sobie rownież ucieszne historje o goralach, ktore podnoszą ich głupotę i dziecinność. Znana jest i gdzieindziej anegdota o goralu, który zaszedłszy do zegarmistrza w Krakowie kupił zwykły tani zegar ścienny, po wsiach używany, a widząc małe złote zegarki prosił, aby mu jednego takiego «septácka» przyczyniono,

Opowiadają rownież powiastkę o góralu, ktory wysiadywał owoc dyni w tem mniemaniu, że to kobyle jaje.

«Przyszedł goral do Krakowa, na Mały Rynek, gdzie sprzedawano dynie i pyta się: «Bie jacy, co to za to kcecie? — já to kupią...» «To kobyle jaje — odpowiedziano mu — ty tego nie kupisz.» Bie jacy kupią« — odpowiedział góral. «Ale musisz cały rok to jaje wysiadywać, to będziesz po roku miał źrebię.« Góral zapłacił ile żądano i poszedł. Zaszedłszy do domu położył jaje na przypieckn i sam potem legł na niem. Nie ruszał się już ze swego miejsca, na pańskie zaprzestał chodzić i ciągle kobyle jaje wysiadywał. Nawet jadł na przypiecku, bo się bał o nie, żeby się nie zaziębiło. Pan, którego nieobecność górala dziwiła, sprowadził «urzędnika« (żandarma?), który przyszedłszy do chałupy strącił górala z pieca a dynię, «owo mniemane kobyle jaje» rzucił za dom. Potoczyła się ku krzakom, a w tej chwili wybiegł

---

[1]) Żal.
[2]) Gospodrz w Sosnowicach.

z nich zając, który przypadkiem tam spał, a teraz obudził się ze snu. Góral głupi ujrzawszy biegnącego zająca zawołał: «Bie jacy! choć ono nie duziutkie, a ji tak ksepciutkie było» myśląc, że to źrebię, które on wysiedział.

W czasie wielkiego odpustu kalwaryjskiego, albo obchodu Wielkiej Nocy zwracają Sosnowianie baczną uwagę na górali, słuchają ich rozmowy, śledzą każde ich poruszenie itd. Potem opowiadają sobie o nich w domu różne rzeczy, które wpadły im w oko jako dziwne i śmieszne.

W Kalwarji co roku przedstawiają w Wielki Piątek Piłata i Pana Jezusa. Na podwyższeniu («gȧnku») siedzi na tronie Piłat w czerwonej koszuli, z długą białą brodą z konopi, a przed niego przyprowadzają przebranego za Pana Jezusa. Jednego roku, gdy górale ujrzeli Piłata na tronie, natychmiast poklękali i zawołali chórem: «O witȧj, psewitȧj psenȧjświętsą Piłatą!

W dzień Matki Boskiej Zielnej (Wniebowzięcie M. B.) puszczają race na górze Kalwaryjskiej. Jednego roku górale ujrzawszy pierwszą racę upadli na kolana i zawołali: «O witȧj, psewitȧj psenȧjświentsa kisico!..»

Opowiadają bez liku anegdoty o góralach, tak np. o góralu, który «maścił wróblą nogą przez całą zimę» itp.

Język, którym górale mówią jest także przedmiotem śmiechów i natrząsań. Sosnowianie przy każdej sposobności podchwytują górali i potem ich przedrzeźniają. Tak np. podchwycili słowo: «gazda» i przekręcili na «gwazda»; teraz zaś samych górali gwazdami, a mowę ich «gwazdaniem» nazywają [1]) W śpiewkach, które mówią o góralach, przekręcają słowa na sposób ich mowy, np.:

Gorȧlu, gorȧlu kiepskoś napȧs kozy,
Psydzie stary gorȧl, nie dȧ ci wiecezy.

albo porównaj poprzedzające śpiewki i powiastki.

Tak samo, jak z mowy górali śmieją się także z ich ubioru, sposobu, życia, obyczajów itd. Długie ich włosy, z których możnaby pleść warkocze, są dla nich wstrętne, może bardziej dlatego, że je mieszkańcy gór smarują sadłem lub inną tłustością i że w ten sposób zanieczyszczają swe głowy, mianowicie czynią je siedliskiem brzydkich owadów i kołtunów. Z krypców śmieją się, chociaż w nich chodzić wygodnie, bo w tych stronach, gdzie za najmniejszym deszczem błota i wody dużo, nie miałyby racji bytu. Tak samo inne części ubrania, jako to: kapelusz, czapka, gunia, spodnie, serdȧk, nie podobają im się z prostej przyczyny, że ich tu nie noszą.

Śmieją się także z górali, że gdy idą «w poseliny» tj. na swaty, mówią: «Psychodzemy tu od nasyk do wasyk, zeli tyz nie dacie wase wegielniy za nasego chlastaca?» [2]), albo, że chodzą w zimie «na pytacke» (tj. po prośbie) do ziem niżej położonych i żebrzą [3]), albo że trudnią się druciarstwem itp.

Wreszcie Sosnowianie są dumni, że mają urodzajniejsze i piękniejsze pola niż górale, jak świadczy często powtarzana śpiewka:

Gorȧle, gorȧle, górȧle sałase,
Lepse nase pola niźli wase lase, [4])
Bo po nasych polach pszenisia sie rodzi,
A po wasych lasak trzysta wilków chodzi.

Jeżeli się zastanowimy nad tem wszystkiem, cośmy wyżej w imieniu Sosnowianów o góralach powiedzieli, poznamy, że obraz ten, aczkolwiek pod niejednym względem prawdziwy, bardzo jest przesadzony. Górale nie są takimi, jakimi ich przedstawiają Sosnowianie; jak każdemu wiadomo, jest to lud krzepki, żwawy, pod względem psychicznym uzdolniony, przebiegły, choć nie tak rozsądny, jak mieszkańcy nizin. Przy swoim temperamencie mogą się nieraz w słowach i czynach swoich śmiesznymi wydawać, lecz nie można twierdzić, że są ludem głupim i ciemnym, jak twierdzą Sosnowianie. Ubranie ich jest dogodne, odpowiadające okolicom, które zamieszkują; zajęcie, np. druciarstwo nie przynosi im wcale hańby i nie jest śmieszne, a że chodzą zimą w niziny na t. z. pytackę, to nie dziw, bo nie mają w domu utrzymania, przy małych zasobach, a wielkich stosunkowo potrzebach. Zaznaczyć jednak w końcu trzeba, że nasze młodsze wiejskie pokolenie, wychowane w szkole, czytające książki, leczy się powoli z niektórych tych przesądów o góralach i zaczyna uważać tychże za lud zręczny i sprytny, szczególnie w gospodarstwie pasterskiem, oszczędny i odważny.

Ciąg dalszy nastąpi.

[1]) Ztąd wszelkie gadanie, paplanie, gwazdaniem nazywają.

[2]) Por. Wacława z Oleska: Pieśni polskie i ruskie ludu galic. Lwów 1883. str. 44 nr. 143.

[3]) Podobno nawet zamożni gospodarze („gazdy“) chodzą na pytacke w niziny i dostają po domach jako jałmużnę ziemniaków, chleba, pieniędzy.

[4]) Zamiast lasy, dla rymu.

BABUNIA.

(„Ma grande mère“).

Staruszka-babunia we święto przy stole,
Kropelkę starego tokaju wypiła...
Zabłysło więc oko... i z dumą na czole
Półgłosem a tęschnie, tak sobie nuciła:
Miły Boże! Jak mi żal
Latek zbiegłych w dal...
Rączki mej pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera...

— Babunia w młodości skromniutką wszak była?..
— No — tak!... Lecz, gdym miała piętnaście już latek,
Tom chłopców potrosze oczkami wabiła...
Cóż? Wkradł się już w serce maleńki niestatek!..
Ależ Boże! Jak dziś żal
Latek zbiegłych w dal...
Rączki mej pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera!..

— Więc serce babuni nie było kamienne?..
— Zachcieliście dziatki!.. Siedmnaście lat miałam,
Jak z miłym Jasieńkiem wieczory wiosenne
W ogródku, prz świetle księżyca spędzałam...
Boże, Boże! Jak to żal!..
Latek — zbiegłych w dal!..
Rączki mej pulchniutkiej,
Nożki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera!..

— I bardzo babunia kochała Jasieńka?..
— Kochałam go bardzo... przez cztery miesiące...
Wtem — Antoś się zjawił... więc — zmiana maleńka;
Na dwóch podzieliłam serduszko gorące...
Miły Boże! Jak dziś żal
Latek zbiegłych w dal!..
Rączki mej pulchniutkiej...
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra!..
I... et catera!...

— Babuniu dwóch razem pokochać czyż można?..
— Powiedzcież!.. Lecz od nich spotkała mię zdrada!
Niedługo więc myśląc, tak byłam ostrożna,
Żem wyszła za Florka... waszego to dziada...
Dobry Boże! Jak to żal
Lat ubiegłych w dal,
Rączki mej pulchniutkiej
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera!..

— I poszło pomyślnie z dziaduniem kochanym?..
— Jak piórko osmalił!.. On tak był niewinnym,
Tak cieszył się bardzo, że był mym wybranym,
Że uszło... co pewno nie uszłoby z innym!..
Tak, tak!.. Boże!.. Jak dziś żal
Latek, zbiegłych w dal,

Rączki mej pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra,
I... et caetera!..

— Lecz babcia mężowi chowała już wiarę?..
— No... tyś nie spowiednik: nie powiem nic o tem...
Niech Bog tam naznaczy należną mi karę,
Gdy stawię się przed nim z tym moim kłopotem!..
Boże drogi! Jak mi żal
Lat ubiegłych w dal...
Rączki mej pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra..
I... et caetera!..

— Cóż było, gdy babcia została już wdową?..
— A cóż? Wszakci starą nie byłam w tym czasie...
Gdy w rok porzuciłam żałobę grobową,
To... świat nie pustynia; urządzić rzecz da się!..
Lecz dziś... Boże!.. Jak to żal
Lat, ubiegłych w dal,
Rączki mej pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera...

— A nam — czy należy w babuni iść ślady?..
— Ułomniśmy wszyscy!.. Gdym ja szła tą drogą,
Co mi ją wytknęły me babki i dziady, —
To czemuż me wnuki iść za mną nie mogą?..
Och, poznacie, jak to żal
Lat ubiegłych w dal,
Rączki dziś pulchniutkiej,
Nóżki okrąglutkiej,
Krwi, co żywo gra...
I... et caetera!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

ARCHIWUM LITERACKIE.

I.

List ks. A. Jełowickiego opisujący ostatnie chwile Stefana Witwickiego.

† 9 Lipca 1847 Rzym
58. Vicolo del Mortaro

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! za wszystko, a szczególniej za krzyż, ktory dźwigał i który nam z miłości ku nam dźwigać daje. Dobra duszo! za miłość ziemską nikt się do nieba nie dostał, a przeto Bóg bardzo miłosiernie obszedł się z wami, przecinając nieodzownie zaścisły węzeł, ktorymeście byli przywiązali serce swe do stworzenia jakkolwiek zacnego, ale będącego niczem w stosunku do Stwórcy. Wyleczenie ze zbytniej miłości człowieka, uważać nam należy za największe dobrodziejstwo, a więc niech będzie Bóg pochwalony za to dobrodziejstwo, które wam uczynił i przez które okazał wam, że chce waszego serca *całego*, że chce służby waszej *całej*. Płakał Jezus nad śmiercią Łazarza i wam wolno płakać nad śmiercią Stefana, ale spokojnie, szczęśliwie nawet, bo w Bogu i z Bogiem. W nadziei, że takim tylko będzie płacz wasz i że miłość Boża ogniem swoim i te łzy osuszy, odpowiadam wezwaniu waszemu z wielką radością.

Zacny nasz Stefan przybył do Rzymu w myśli, która go od wielu lat przyciskała od Boga, z myślą zostania księdzem. Dla tej to myśli wszystko co ziemskie spokojnie kochał, a tylko co Boskie gwałtownie.

Stan zdrowia jego wstrzymywał go od lat kilku od wejścia do stanu duchownego; szukał zdrowia *jedynie* dla oddania go na służbę bożą w *kapłaństwie*. Przybył do Rzymu w nadziei, że mu Matka Makrena uprosi albo zdrowie, albo łaskę tak silną, aby pomimo choroby puścił się za Jezusem do opowiadania wiary jego. Matka Makrena pokochała bardzo piękną duszę jego, szczerze się modliła i radziła, aby nie zważając na zdrowie szedł w służbę tego, który zdrowie daje. Wahał się kochany Stefan, pomimo nieograniczonej miłości, którą się przywiązał do Matki Makreny. W tem wahaniu się przepędził kilka miesięcy. Matka pogroziła, że nie będzie zdrów póki się nie odda Bogu na księdza. Wtedy odbył rekollekcje, po których postanowił na czas niejaki myśl kapłaństwa zawiesić. Nadeszła Wielkanoc, w czasie której był zdrowszym, pogodniejszym. Już panna Grabowska, którą chorą na ospę wietrzną odwiedził była wyzdrowiała, kiedy kochany Stefan, który Wielebną Matkę widział po raz ostatni we środę wielkanocną, przypuszczonym będąc do towarzyszenia jej z krzyżem idącej na zajęcie domu, w którym rzuciła pierwszy fundament zakonu Bazylianek za pozwoleniem papieża. Nazajutrz zachorował, jak zwykle, aż we trzy dni pokazała się ospa, myślano z początku, że wietrzna, aż się wywiązała ospa naturalna, niezmiernie silna, zdawało się jednym, że ospa ta skończy wszystkie cierpienia jego i da mu zdrowie zupełne. Tak się też stało, ale już do nieba! Gorączka ospy odjęła mu przytomność i mowę i wzrok na parę dni, jednak do ostatniego namaszczenia sam wyciągnął rękę, po ostatniem namaszczeniu, kiedy już lekarze zupełnie zwątpili, napisał ks. Terlecki karteczkę do Matki, żeby przysporzyła modlitw. Wtedy Matka pomodliwszy się gorąco odpisała kilka słów następnych:

«Niech się dzieje wola Boga! co Bóg chce to będzie. Ani moja rada, ani lekarska, tylko Boska pomoc i wola Ojca. Z mojemi dziećmi modlę się i będę. A kiedy umrze pójdzie do Nieba bo kocha Boga, a Bóg jego. A kiedy Bóg chce, aby żył, to jeszcze wiele dobrego zrobi dla Wiary Świętej. Amen.»

Tylko co przyniesiono tę karteczkę i tu cud prawdziwy. Stefan, jeszcze oczu otworzyć nie mogąc, po dwudniowem oniemieniu zawołał: dajcie mi list — jaki? zapytano — a od mojej Matki najmilszej. Myślano, że z gorączki mówił.—Od jakiej Matki? A jużci od mojej dobrodziejki Matki mojej Makreny, połóżcie mi go na głowie, pod krzyżem—i tak uczyniono. Wtedy wielkim głosem zawołał: przynieście mi Pana Jezusa i w największym uniesieniu ducha z dziwną przytomnością gotował się na przyjęcie tego gościa. Przemawiał do otaczających słowa buchające ogniem miłości Bożej, a gdy się najświętszy Sakrament zbliżał, on rozlał duszę swoją we łzach, oczy otworzył i hymnem najwznioślejszym powitał Go! Od dwóch dni i kropli napoju przełknąć nie mógł. Była więc obawa, zapytano go czy przełknie Świętą Komunię? Ach co Tego to wezmę do serca i nie wypuszczę go nigdy, nie bójcie się.—Wtedy uczynił wotum, że skoro wyjdzie z tej choroby wnet księdzem zostanie i to w zgromadzeniu naszem ale zarazem śmierć z ręku Boga najmilej powitał. Wniesiono Pana Jezusa. O! jakażto była chwila uroczysta — opisać niepodobna, był w zachwyceniu, po komunii dusza jego pieśniami dziękczynnemi mieszkała w Niebie, — widać śmierci prosił, bo ją uprosił.

Po komunii noc przepędził spokojną, ale już nic o ziemi nie mówiąc. Nazajutrz wpadł w stan konania i dnia 19 kwietnia między godz. 4 a 5tą po południu, otoczony modlitwami kapłanów widzialnie, a niewidzialnie chórami aniołów, połączył się z nimi, spokojnie. Niepodobna wyrazić boleści i żalu powszechnego po śmierci kochanka Polski: wszyscy obecni w Rzymie Polacy towarzyszyli mu do grobu, gdzie uczciwie w jednym a osobnym grobie z Jańskim pochowany, czeka na modlitwy przyjaciół, nie dbając

o pomnik, który mu wdzięczność i miłość narodowa wystawi, czem się zajęło Towarzystwo Literackie Polskie w Paryżu, którego był członkiem.

13 Kwietnia odprawiliśmy jak mogliśmy najwspanialsze exekwie, na ktorych śpiewałem mszą świętą, a ks. Kaysiewicz miał mowę pogrzebową, ktora wyjdzie z druku w Paryżu.

Matka Makrena modliła się ze łzami za duszę ś. p. Stefanà, aż go we trzy dni ujrzała we śnie, po polsku suto ubranego—przyszedł dziękować jej za modlitwy, «zdrów jestem zupełnie kochana Matko i jako nowo narodzony, alеż okropna kąpiel siarczysta, w której przez trzy dni byłem zanurzony.» Potem matka Makrena uspokoiła się o duszę jego i modlić się przestała.

Rzeczami po Stefanie zajął się ks. Terlecki, który jako lekarz najwięcej pilnował Stefana, a jako przyjaciel nietylko jego ale i brata jego, którego nie znam, zajął się interesami. Papierów nic prawie z sobą nie miał i rzeczy niewiele, zostawiwszy resztę w Paryżu. Nie wiadomo dotąd czy co do druku zostało, wszakże nie wątpię, że co zostało wnet wydanem będzie. Drobne rzeczy bez rzeczywistej wartości rozebrali między siebie dla pamiątki Polacy, którzy go strzegli w chorobie jego. Widoku Ojcowa nie przypomina sobie ks. Terlecki, ani pugilaresu, o ktorym wspominacie. Wszakże rzuciwszy okiem na drobnostki jeszcze pozostałe zajrzałem w pugilaresik drewniany, powiadam: ten dajmy, otwieram, znajduję bilet wizytowy jedyny z *pożegnaniem*. Bóg sądził, żeby się wam dostał! *Z pożegnaniem*, ale nie na wieki, tylko na ten żywot doczesny, który zapewne skończycie w służbie Bożej, wzgardziwszy światem. Jeźli was Bog przyprowadzi kiedy na grób Stefana, może też was natchnie myślą złożenia serca waszego tam gdzie szczególniej Stefan je był złożył: w myśli oddania się Bogu zupełnie i wyłącznie, ku czemu mielibyście sposobność doskonałą, dając się za córkę matce Makrenie, ktora jak powiedziałem rozpoczęła założenie zakonu Bazylianek w Rzymie, które to dzieło wielkiego Miłosierdzia bożego, Stefan widział oczami własnemi i poszedł wnet donieść o niem córkom męczenniczkom wielebnej matki. Posyłam obrazek z jej podpisem po ś. p. Stefanie pozostały.

Listy wasze jeźli się wynajdą odeszlę, a nawet ściągnę list z Neapolu. W Rzymie jeden się tylko znalazł i ten odsyłam.

Pokój duszy Stefana. Pokój sercu waszemu! Bo gdzie niema pokoju nie masz Boga. Pokój wam zacna pani. O tę łaskę proszę dla was Dawcę pokoju Chrystusa Pana, w którym rozmiłujcie się nad wszelkie stworzenie, a znajdziecie pokój niezachwiany, pokój bezpieczny i ze wszech stron silny. Weźcie go sobie za Oblubieńca — ten wam nieumrze!

Kochany Stefan bardzo mi bliski sercem i duszą po przyjezdzie swym do Rzymu jeszcze mię więcej darzył sercem swojem, ale o was nie mówił *nigdy*, ani też o żadnych stosunkach świeckich. Rozmowy nasze były zawsze o Bogu i o rzeczach boskich, w których dusza jego była zatopiona, ale tak, że gdy wszedł do kościoła, sam widok jego do Boga ciągnął. Z każdym dniem wzmagała się ta pobożność jego. Tu skończył uświęcenie swoje w szkole matki Makreny, ktorej codziennie w zachwyceniu słuchał i przy której często mię wyręczał jako tłumacz między nią, a cudzoziemcami tłumnie ją odwiedzającemi i biorącemi od niej zbudowanie a częstokroć nawrócenie.

Nie zbywało mu tu na niczem, ani w życiu ani przy śmierci. Najbliższemi stróżami jego było nasze zgromadzenie, to też dwóch z pomiędzy nas wkrótce dostało ospy, ale bez szwanku z niej wyszło, znać jeszcze nie gotowi do nieba.

Modląc się za Stefana, pomódlcie się i za nas abyśmy z nim razem w przybytkach Pańskich zatopieni w miłości Boga odpoczywali w pokoju wiecznym. Amen.

pokorny w Chrystusie sługa.

X. A. Jełowicki.

Adres mój jest taki: Au Revérand Père Alexsandre Jelowicki, Recteur de S. Claude à Rome 58 Vicolo del Mortaro. Niema potrzeby listu rewersować, bo ztąd tylko kłopot i zwłoka.

Literacko-artystyczne mięszaniny z Czech.

O otwarciu narodowego teatru w Pradze złotej nie będę pisał, gdyż Szanowni Czytelnicy wiele o tem już czytali w dziennikach polskich. Powiem tylko, że jesteśmy bardzo szczęśliwi z posiadania nareszcie tak wielkiego gmachu i *że nigdy naród czeski nie zapomni z jaką serdecznością obchodzili z nami wielką tę uroczystość narodową nasi bracia Polacy.* Pierwszym dramatem czeskim przedstawionym w teatrze narodowym była oryginalna tragiedja Bohumila Adámka p. t. *Salomena*, pierwszą operą *Libusa* przez Bedrzicha Smetanę. Dramatyczną literaturę naszą «Salomena» wiele zbogaciła. Jest to tragedja mistrzowska. Na język polski będzie ją tłomaczył *Bronisław Grabowski* i będziecie ją może widzieli już w przyszłym sezonie zimowym (1884/85) na scenach polskich. Pierwszą *polską sztuką* przedstawioną w T. N. były *Grube ryby* Bałuckiego. Pierwszą *nową* sztuką polską, która ma być wystawioną w czeskim teatrze będą *Pozytywni* Narzymskiego. Teatr narodowy jest co dzień przepełniony. Znakomitą myślą jest urządzenie tak zwanych «*divadelnich vlaku*» (teatralnych pociągów), ktoremi przyjeżdżają dwa razy za tydzień do teatru z bliskich i dalekich miast i wiosek czeskich całe *sta osób*. Są miasta co same napełniają teatr od galeryj do parteru i będą pociągiem teatralnym przyjeżdżać na przedstawienia co miesiąc. Obecnie występuje w T. N. znakomita włoska śpiewaczka *Emma Juzolla*. Dotąd występowała w «Żydówce», «Fauście» i «Trubadurze.» Krytyka czeska unosi się nad jej przepięknym śpiewem i mistrzowską grą. Później wystąpi jako gość znany tenorzysta polski L. Mierzwiński.

Nakładem najwybitniejszego nakładcy *J. Otty w Pradze* poczęło wychodzić nowe wielkie illustrowane czasopismo: *Zlatá Praha* pod redakcją znakomitego powieściopisarza i historyka literatury *Ferdynanda Schulza*. Dotąd wydane numera prezentują się bardzo pięknie; znajdujemy tam literackie prace najlepszych autorów i illustracje pierwszorzędnych artystów. W drugim numerze zaczęła wychodzić *Blizińskiego* nowella *Baba* (czytelnikom «Przeglądu dobrze znana) w czeskiem tłomaczeniu. W każdym numerze znajdują się także obfite krotkie wiadomości z literatury polskiej. Śmiało przewidzieć można, że *Zlatá Praha* zrowna się ze wszystkiemi podobnemi czasopismami zagranicznemi.

Nakładem tegoż samego księgarza wyszedł wielki poemat Jarosława Vrchlickiego: «*Legenda o świętym Prokopie*» z prześlicznemi illustracjami *Karola i Adolfa Liebscherów*,—nakładem zaś księgarza F. Szimaczka poemat *Adolfa Heyduka* «*Za volnošt a viru*» z pięknemi ilustracjami *J. Schikanedra*. Oba te utwory poetyczne są chlubą czeskiej poezji. W drobnych wiadomościach literackich *Przeglądu* znajdowała się już wzmianka o wybornem dziełku *Edwarda Jelinka* p. t. *Polské divky i pani*. Zanotuję tylko, że autor tego dziełka obiecuje w przedmowie napisać w języku polskim dla Polek podobnąż książkę: *O czeskich paniach i pannach*.

T. T. Jeża wielka powieść: *Uskoki* wychodzi w nowej bibliotece powieści i nowelli: «Pekne cteni» (wydawanej przez J. R. Vilimka) w tłomaczeniu Polabskiego. Dotąd wydano sześć zeszytów. Bałuckiego komedja: *Po śmierci cioci* będzie wydana w czeskim przekładzie w nowej bibliotece sztuk dramatycznych, którą pod tytułem «*Ochotnicke divadlo*» (teatr amatorski) wydawać będzie księgarz M. Knapp w Karlinie pod Pragą. Bałuckiego powieść: 250.000 drukuje obecnie dziennik *Národni Polityka*. Dowiadujemy się, że mają wyjść u Vilimka w Pradze: *Poezje Adama Asnyka* w przekładzie *Fr. V. Kvapila*. Drugi zeszyt *Wyboru pism J. I. Kraszewskiego w czeskich przekładach* przyniósł jego: *Typy i charaktery*

w wybornym tłomaczeniu F. A. Hory. O ile wiem wydawnictwo to ukazuje się staraniem stowarzyszenia «Koło polskie» w Pradze.

W wielkiej sali staromiejskiego ratusza pragskiego wystawiony jest obecnie wielkich rozmiarów obraz malarza *Wacława Brożika: «Jan Hus.»* Jest to największe dzieło dzisiejszej sztuki malarskiej czeskiej i dlatego utworzył się komitet, który obrał sobie za zadanie za pomocą składek publicznych zakupić obraz ten dla narodowego muzeum.

Po . . . . ky.

PENSYONAT WYCHOWAWCZY
Dra JÓZEFA KREMERA W KRAKOWIE
ze wspomnień lat ubiegłych.

Do kolegi szkolnego hrabiego Henryka K. P.

Czterdzieści lat już minęło, jak w pensyonacie ś.-p. Kremera się poznaliśmy i w tym zakładzie lat kilka kolegowaliśmy. Wielu z naszych współuczniów już nie żyje, — wielu innych straciliśmy z oczu. Nasze stosunki nie uległy zmianie. Chociaż różnemi były ścieżki naszego żywota, przyjaźń jednak na szkolnej zawiązana ławie, oparta na wzajemnym szacunku i szczerej życzliwości, wnet da Bóg, półwiekowy święcić będzie jubileusz. Przyjm więc łaskawie niniejsze skreślenie lat młodzieńczych, wspólnie przepędzonych.

Imię Józefa Kremera, profesora filozofji na Jagiellońskim Uniwersytecie w Krakowie, autora licznych a znakomitych dzieł filozoficznych i estetycznych, zbyt jest znanem i zbyt poczesne w literaturze naszej zajmuje miejsce, aby jakikolwiek szczegół jego działalności mógł być dla czytającego ogółu obojętnym.

Przedmiot zaś, któremu te kilka stronnic poświęcam, zyskuje, jak sądzę, jeszcze przez to na znaczeniu, że o ile mi wiadomo dotąd nie był opisanym. Wart on jednak być poznanym, nietylko przez wzgląd na ś. p. Kremera, ale i dlatego, że stanowi on opisanie jednej z lepszych. wyższych szkół w Polsce, w owym czasie, w którym zakłady wychowawcze kraju naszego na bardzo niskim stały stopniu.

Chociaż nietylko ś. p. Józefa Kremera, całe jego rodzeństwo, a nawet ojca jego, słusznie przez dzieci największą miłością i czcią otaczanego, miałem zaszczyt znać z blizka, bynajmniej nie zamierzam pisać tu jego biografji. Pozostawiam to żyjącym a bliższym mu osobom. Również krytyczne ocenienie dzieł jego, o tyle mniej może być mojem zadaniem, że naówczas gdy uczniem jego byłem, jedynie tylko «Rys fenomenologji Ducha», i pierwszy tom «Listów z Krakowa» były już drukowanemi, a zresztą, ponieważ od lat wielu już się filozofją nie trudnię. Mówić więc będę o ś. p. Kremerze jedynie tylko jako o nauczycielu i właścicielu zakładu wychowawczego.

Pensyonat w r. 1837 założony i naprzód tylko 7 uczniów obejmujący, z początku mieścił się na 2-iem piętrze obu domów ojca Józefa Kremera, to jest na rynku i w ulicy św. Jana (niegdyś własnych Józefa hr. Mieroszowskiego), w których na 1-em piętrze była restauracja «pod trąbką.» Po trzech latach przeniesiony do domu przy ulicy Sławkowskiej naprzeciw kościoła św. Marka nabytego przez Dra Kremera. Zwano dawniej dom ten Ordynackim, gdyż kupiony przez Generała Felicjana Mieroszowskiego, Ordynata Mysłowskiego należał następnie do ordynata Stanisława, a wreszcie do ordynata Aleksandra Mieroszowskiego. Ten ostatni dokupił do niego jeszcze inne realności i zbytkownie go urządził. Na pierwszem piętrze drzwi były machoniowe ze zwierciadłami, — przy domu murowana, kryta wielka ujeżdżalnia, piękny ogródek, oficyny, stajnie, wozownie itd. Przenosząc się na stałe mieszkanie do Mysłowic, sprzedał dom ów Aleksander Mieroszowski. W tej więc kamienicy pensyonat obejmujący zczasem trzydziestu kilku konwiktorów i kilku uczniów przychodnich paradnie był pomieszczonym. Na parterze była sala jadalna, na obu piętrach klasy i mieszkania uczniów. W ujeżdżalni urządzony kompletny zakład gimnastyczny, ogródek zaś najstaranniej utrzymany. Oprócz właściciela instytutu mieszkało w nim jeszcze trzech nauczycieli dozorujących (Surveillants), tj. jeden Niemiec i dwóch Francuzów. Ciągła konwersacja niemiecka i francuzka dawała sposobność wyuczenia się tych języków. Jako nadobowiązkowych przedmiotów można było brać lekcje tańca, gry na fortepianie, rysunków, języka angielskiego, a w lecie w zakładzie kąpielowym na Wiśle pływania. Codziennie cały pensyonat szedł w około miasta na spacer, albo w zimie do ogrodu Macewiczów ne ślizgawkę. Na mszę chodziliśmy do kościoła św. Marka, a przez cały post co niedzielę katecheta nasz tamże miewał do nas exortę. Rozumie się samo przez się, że wikt był dobry i obfity, a czystość i porządek wzorowe.

Po sześciu latach opuściłem ten zakład w roku szkolnym 1842 na 1843. Istniał on zaś jeszcze dłużej, zdaje mi się do roku 1853 czy 1854-go. By owego instytutu dydaktyczne zadanie dobrze określić, należałoby opisać ówczesny stan szkół publicznych w Krakowie. Zbyt by mnie to jednak od głównego przedmiotu oddalało. Ograniczę się więc na krótkiej wzmiance, że z dwóch dawniej istniejących gimnazjów, owe św. Barbary przekształcono na szkołę techniczną. Zakład ten, pomimo nędznego swego uposażenia oddał jednak, dzięki istotnie ofiarnej pracy swych nauczycieli, znakomite usługi krajowi. Dostarczył bowiem licznego zastępu uzdolnionych budowniczych, inżynierów i kolejowych techników, z których wielu zaszczytnie bardzo swe powołanie w Kongresowem Królestwie spełniało. Pozostało więc tylko gimnazjum św. Anny. To jednak zarówno z uniwersytetem, na którym jedynie medyczny fakultet, prawdziwe znakomitości między profesorami liczączy, istotnie był kwitnącym, nie mogło pod ołowianemi skrzydłami «trzech opiekuńczych dworów» i pod rządem «Konferencji Rezydentów» w żaden sposób prosperować. Nie pomogło tu, że do grona gimnazjalnych profesorów należeli tak celujący mężowie jak dwaj Mecherzyńscy (z tych Karol, później profesor uniwersytetu), Adolf Mułkowski, (później akademicki bibliotekarz) Kulaski (po którym w manuskrypcie pozostała historja Szląska), Pogonowski i Otremba, gdyż cała organizacja była wadliwą i zwichniętą.

Jakże naprzykład powstrzymać się od uśmiechu politowania na ten fakt, że historji polskiej nie wykładano, a powszechnej dawano według dziełka p. Kajdanowa jakiegoś koryfeusza rossyjskiego, które to dziełko w Warszawie na polski język przetłomaczono.

Nasz więc pensyonat był gimnazjum prywatnem, tak urządzonem, by jego uczniowie, jako tak zwani prywatyści mogli zdawać u św. Anny egzamina i pozyskiwać rządowe świadectwa, a zarazem by gruntowniejszego i szerszego nabywali wykształcenia. Ten wzgląd ostatni o tyle zaś jeszcze przeważał, że z Galicji i starsza młodzież dość licznie przybywała, by w naszym zakładzie uzupełnić swoją edukacją.

Dla zwięzłości połączę wyliczenie wykładanych w pensyonacie przedmiotów z wymienieniem nauczycieli odnośnych.

Zacznijmy od nadobowiązkowych, zwykle tak zwanych talentów:

Tańca uczyli Zieliński i Adolphi, oba należący niegdyś do warszawskiego baletu.

Gdy na fortepianie zdolni nauczyciele: Germasz, Sokulski i organista Morawski.

Rysunków: Płonczyński, nauczyciel szkoły sztuk pięknych z techniką połączonej.

Z przedmiotów szkolnych:

Religii: ks. Stanisław Anderski od kościoła P. Maryi, pełen delikatności i słodyczy, później ks. Karczyński od tegoż kościoła. Może nie wielki teolog ale gorliwy nauczyciel, dobry Polak, żołnierz z roku 1830.

Kaligrafji dawał Wesołowski, później ks. Anderski.

Języków żyjących, a mianowicie:

Angielskiego: Rudzki, emigrant podczas swego długiego pobytu w Londynie nawet zangielszczały.

Francuzkiego z początku Glaubrecht, Szwajcar, człowiek bardzo wykształcony i Mr. Delatre; chętnie on nam opowiadał: Le pasage de la Berrresina, który służąc dans la grrrande Arrrmée odbywał. Człowiek nader poczciwy, znany ze swego gorącego patryotyzmu polskiego. Miał on potem własny zakład wychowawczy w Krakowie. Później jednocześnie dawali francuzkiego mieszkający w pensyonacie dyżurni nauczyciele: Szwajcar Thalmann, gruntowny i sumienny i Mr. Manier, paryżanin, który «w szafirowi tużurka chodził do Strzelecki ogroda.»

Niemieckiego udzielał naprzód Dr. August Otremba, proboszcz protestancki i profesor gimnazjalny, gorliwy i uczony pedagog. I on miał później własny pensyonat. Gdy się zczasem dyżurnych nauczycieli potrzeba okazała, przybył z Wrocławia na tę posadę Henryk Foerster. Musiał to być zdolny człowiek, gdy od Kremera wprost powołał go rząd pruski na dyrektora nowo założonego gimnazjum (podobno we Wrześni). Nietylko uczył on nas niemieckiego języka, ale oprócz tego wykładał po niemiecku niektóre przedmioty, i tak: bardzo dokładnie historją literatury francuzkiej i w sposób bardzo zajmujący geografją historyczną starożytnej Grecji.

Po nim na krótki czas otrzymaliśmy bursza, kandydata teologji katolickiej p. Juljusza Rudolpha. Opuściwszy Kraków wstąpił do seminarjum w Wrocławiu. Ale wnet przez wystąpienie z tego zakładu i przyłączenie się do sekty Rongiego i Czerskiego tak zwanych niemieckich katolików, wielkiego skandalu stał się powodem. I to niedługo trwało, wkrótce znów wrócił do katolickiego kościoła. Był to, co Niemcy zowią: ein Lumpengenie, ale od niego dostaliśmy wiadomości o urządzeniu niemieckich uniwersytetów i trybu tamtejszej nauki.

Polski język wykładał sławny i zasłużony profesor i bibliotekarz Uniwersytetu Dr. Józef Muczkowski, po Onufrym Kopczyńskim nasz najznakomitszy gramatyk. I możeby językowi naszemu na dobre wyszło, żeby przy jego gramatyce i nadal pozostać. Naturalnie, że się według niej uczyliśmy. Był to nader surowy nauczyciel, a o ile się go baliśmy, o tyle go bardziej czciliśmy. Gdy z kogo był niezadowolonym, pytał go «więc ci język narodowy, ta spuścizna po przodkach, jest obojętnym, więc tak twój kraj kochasz?» Staraliśmy się też wszelkiemi sposobami, by sobie na taką apostrofę nie zasłużyć.

Później stylu polskiego dawał Józef Kremer. Wiadomem przecież jak po mistrzowsku on mową naszą władał. Straszną też była krytyka jego naszych stylistycznych wypracowań, każdy wyraz prawie podlegał szczegółowemu rozbiorowi. Były to wykłady nader pouczające. Historji literatury polskiej i języków starożytnych uczył nas powyżej już wspomniany Dr Adolf Mułkowski. Wielce uczony, powszechnie wysoko ceniony, miły i łagodny, a przez nas kochany. Według ówczesnego kierunku szkół, starano się bardziej o dobre rozumienie trudniejszych nawet łacińskich prozaików i poetów, aniżeli o wielką wprawę w pisaniu poprawnem tym językiem.

Co do greckiego języka żądano do matury jedynie tylko znajomości jego początków. Zapewne, że to za mało. Ale podobno przerzucano się później w drugą ostateczność, poświęcając prawie cały czas nauce tego języka z uszczerbkiem bolesnym dla nauk przyrodzonych, matematyki i języków żyjących. Że to człowiekowi tak trudno środkową a słuszną obrać sobie drogę!

Co do matematyki:

Arytmetyki i algebry (zrównania stopnia drugiego) dawał przez czas niejaki brat naszego pryncypała, Karol Roman Kremer, Dr. filozofji, później dyrektor budownictwa wolnego miasta Krakowa i J. O., o którym poniżej jeszcze wspomnę. Potem przedmiotów tych uczył zdatny bardzo Czesław Kozubowski, brat profesora uniwersytetu.

Planimetryi, stereometryi i trygonometryi dawał dyrektor instytutu technicznego, Dr. Michał Łuszczkiewicz; chociaż trochę szorstki, ale sprawiedliwy i gorliwy, bardzo od uczniów lubiony. Ten sam dawał fizyki według książki Romana Markiewicza i mineralogji.

Początków chemji wykładał magister farmacyi Matyasek.

Jeżeli wiele z dotąd wyliczonych przedmiotów uczono dokładnie i gruntownie, to niezawodnie wykład architektury przez Karola Kremera był ozdobą i zaszczytem tego instytutu. Wykładał on zwięźle ale zupełnie dostatecznie budownictwo, tj. naukę o materjałach budowlanych, naukę o murarce, osobno zaś historją architektury tj. powstawanie i przemiany każdego stylu, jego znamiona i filozoficzne znaczenie.

Karol Kremer przy ówczesnym zastoju wszelkiego umysłowego i artystycznego życia, nie miał pola do praktycznego rozwinięcia swych talentów. Restauracja części gmachu biblioteki Jagiellońskiej i bramy floryańskiej są pamiątkami jego czynności. Gdyż restauracja istniejącego teatru w danych warunkach była najniewdzięczniejszem zadaniem. Zresztą być może, iż nie był on nader oryginalnym i płodnym artystą, ale był to umysł wyższy, teoretyk, estetyk i nauczyciel pierwszorzędny. Gdyby jego wykłady miały miejsce nie w Krakowie, w prywatnym pensyonacie, ale w Berlinie lub Paryżu, byłyby mu zjednały sławę europejską. Tłomaczył on nam, że kształt budynku winien być objawem myśli i przekonań tych, którzy go stawiali, co się w gmachach służbie Bożej poświęconych najwyraźniej uwydatnia. Że więc np. u Egipcyan pojęcie o znikomości doczesnego żywota, a o wiecznotrwałości pozagrobowego wpłynęło na ich sztukę w ten sposób, że grobom jak największą trwałość dawano (piramidy), a mieszkania żyjących były nędznemi zlepkami. Wyjaśniał, że sztuka grecka była objawem ich religji. Gdy zaś takowa była właściwie tylko kosmologją i fizyką, że więc ich Bogowie są personifikacją sił natury. Że dlatego w sztuce greckiej ma linia horyzontalna, przyrodę oznaczająca, tak wielką przewagę i ztąd to pochodzi, iż wiele szczegółów ornamentyki, np. kapitele jonickiego porządku, tryklidy, lotusy itd. odnoszą się do natury. Wykazywał dalej, jak styl *łuku półkolistego*, pierwotnego chrześcjaństwa, zwykle romańskim zwany, jest wiernem odbiciem owego rozumowego i trzeźwego kierunku, którym się nowa wiara naówczas od politeizmu odróżniała. Opisywał, jak z tego rodzaju budownictwa dwa nowe style się wyłoniły. Jeden z nich bizantyński, płód panującej, dworskiej wschodniego cesarstwa religji, olśniewający przepychem i bogactwem marmurów, pozłot, fresków, mozaik, a który pomimo tego w swych *mniej niż półkolistych łukach*, ciężkich gzymsowaniach, sklepieniach (kopankowych czyli klasztornych), w ogromnych, a nie w wzniosłych kopułach, przedewszystkiem zaś w owych cienkich filarkach, w środku okien pomieszczonych, a wielkie ściany dźwigających, zdaje się pouczać o znikomości rzeczy ludzkich, o walce człowieka ze światem, o ucisku jaki w nim ponosić musi, a jak w ten sposób azyatycki fatalizm i zgnębienie przypomina. Gdy drugi styl *ostrołukowy*, znany powszechnie pod nazwą gotyckiego powstał znów z arabskiego budownictwa. Jak bowiem zachodnie chrześcjaństwo oświatę swą w znacznej części zawdzięczało Maurom hiszpańskim, bo filozofią grecką, geografją, matematykę (al-

gebrę) astronomją, wprawdzie i astrologją, medycyną, chemją (chociaż z alchemji powstałą) jak u nich znalazło wzory rycerskości, galanterji i poezji, tak też od nich przejęło i architekturę. Wprawdzie sztuka arabska ze swym łukiem podkowiastym, a więc *więcej niż półkolistym*, z ażurowkmi marmurowemi galerjami, z wiązkami lekkich kolumn itd. owa mistrzyni chrześcjańskiej przewyższa swą uczennicę pod względem bogactwa fantazji, lecz pozostała po za nią co do głębokości wewnętrznej treści. W gotycyzmie bowiem wszystko się uduchowniło. Zachowano przez wschodni kościół wprowadzony kształt krzyża w grundrysie świątyni i kierunek ołtarza ku wschodowi — ale dano zarazem każdemu szczegółowi symboliczne znaczenie. Liczby trzy, pięć, siedem, zawsze się powtarzające, oznaczają trójcę, przykazania kościelne i sakramenta. Linja horyzontalna porówno ze ziemskiemi sprawami idzie w zapomnienie. Tylko pionowa gra rolę, a głównie przeważa ostrołuk. On bowiem oznacza dążenie do nieba, do Boga, a dążenie to zdolne ciągłego podniesienia, większej doskonałości, tak ostatecznych nie może mieć granic jak i ów symbol. To nie poziom lub półkole, postępu niedopuszczające. Bo i średnich wieków też owe dążenie do nieba było moralną charakterystyką. Ztąd krucyaty, klasztory od wschodnich zupełnie inne itp. Gdy zaś wewnątrz kościoła, w którym wszystko do Boga dąży, w górę strzela modlitwą, wszystko w innem, a nie w zwykłem, ziemskiem przedstawiać się winno świetle, dlatego też w nim owe kolorowe i malowane okna. Po za kościołem panuje materjalizm; grzech i zgorszenie to symbolicznie przedstawiają na zewnątrz budynku, na pinaklach szkarp lub jako deszczowe upusty zamieszczone potwory, djabły i tym podobne kreacye.

Tłomaczył on nam dalej, jak z przemianą pojęć i uczuć począł naprzód wyradzać się a potem więdnąć gotycyzm, aż zwrotowi do starożytnej sztuki ustąpił miejsca i ztąd się wywiązał renesans. Gdy zaś maniera i nienaturalność po dworach i we wyższych sferach zapanowały, jak styl odrodzenia się w rokoko przekształcił — rodzaj będący tak igraszki wyobraźni płodem, jak chiński.

Oczywiście, że niepodobna tu treści całego wykładu spisywać. Chciałem jedynie w tych kilku wyrazach myśl główną podać, by wykazać wielką onego wartość. Jenialny ten, a zacny nauczyciel kształcąc nasze młodociane umysły, zdobywał sobie zarazem serca, które mu też niezatartą a wdzięczną zachowały pamięć.

Józef Kremer wreszcie, oprócz wspomnianego stylu polskiego wykładał następujące przedmioty:

Historją literatury starożytnej, tj. indyjskiej, perskiej, hebrajskiej. Wdzięczne to było pole dla jego tak bogatej i kwiecistej wymowy. Zdawało się iż roztacza przed nami oryentalny kobierzec w cudne tkany barwy i wzory.

Dalej historją powszechną, od najdawniejszej, starożytnej poczynając aż do zawarcia westfalskiego pokoju. Czy o Psamenicie mówił i o starego Egiptu zagadkowej przeszłości, czy o Astyagesie i o Cyrusie, — czy też Hellady, Macedońskiego Aleksandra lub Rzymu opowiadał dzieje, czy kreślił obraz Hannibala, Sylli, Maryusza lub Cezara, jakąże to plastyką odznaczało się przedstawienie, co za doskonałość rysunku, jakie cieniowanie, co za wypukłość! — było to coś do starożytnej podobnego rzeźby. A średnie wieki! — Karol W. wojny krzyżowe, Smierć Konradina, cała angielska historja, to znów Karol V. i Franciszek I., Wallenstein i Gustaw Adolf. Jakże dać wyobrażenie o tej dramatyczności wykładu, o tem jak główne osoby i zdarzenia występowały pełne życia i prawdy wśeód pysznego tła znakomicie przedstawionych właściwego czasu stosunków. Porównam to chyba z dioramami Gropiusa, gdzie się patrząc, sądzi być w środku owej okolicy i podziwia to wschód, to zachód słońca, straszną burzę, rozkoszny ranek lub noc gwiazdzistą. Wykłady też owe, po upływie blisko pół wieku, przechowały się z całą świeżością swoją i z całym urokiem w pamięci ówczesnego ucznia.

Udzielał nam wreszcie w znakomity sposób geografii. Wykłady te bowiem składały się z kilku oddzielnych części. I tak: Astronomiczna mówiła oczywiście o ciałach niebieskich, ich ruchach i stosunkach, o stąd wynikających porach roku, o dniu i nocy i tp. Fizyczna tłomaczyła nam przypływ i odpływ morza, prądy morskie i inne tu przynależne zjawiska, całą klimato- i meteorologią, a nawet teoryą chmur z ich rozmaitemi przemianami (Cirus. Cumulus, Stratus, Nimbus i t. d.). Topograficzna znów w bardzo obszernych rozmiarach opisywała wszystkie szczegóły konformacyi ziemi a przedewszystkiem Europy, całą Hidro i Orografią, wszystkie płaszczyzny, wysoczyzny i pasma gór podając pojedynczych okolic, np. Berneńskich Alp. Chamounix, Montblanc i lodowca la mer de Glace, naszych Tatrów z ich turniami i jeziorami, fińskiej płyty lub rozkosznej miejscowości Hyeres, albo Cintry drzew pomarańczowych gajów, jednocześnie kwieciem i owocami okrytych, poetyczne obrazy. Część geografii wreszcie najznakomitszą stanowiła owa niby polityczna, tu zaś raczej: artystyczno estetyczno-turystowska. W każdym kraju z kolei, przy każdem mieście wyliczała dokładnie wszystkie tamtejsze osobliwości, zabytki i przedmioty sztuki, określała je i oceniała. Z niej czerpane, a dobrze w pamięci przechowane wiadomości zastępowały w późniejszych mych licznych podróżach wszelkie inne skazówki lub przewodników. Każdy zaś kto czytał dzieła Kremera pojmie w jak wysokim stopniu interesującem było opisanie Hiszpanji, owego np. Burgos, Sewilli, Granady, Alhambry, lub znowu Włoch, Rzymu, Pompei, Florencji, Wenecji, podane z całą ścisłością, artystyczną erudycją, a nawet dramatycznością (np. przy opisie pałaców Dożów, a więc i o brakującym portrecie Marino Falieri i t. p.)

Godnem zaś zakończeniem a razem uwieńczeniem całości był dodatek stanowiący umiejętnie i krytycznie zestawioną historją malarstwa wszech krajów. Dotąd jeszcze, każdy raz gdy zwiedzam obrazy w kościołach, galeryach lub innych miejscach się znajdujące, lub oglądam znakomite budowle, przypominam sobie, że pierwsze wiadomości o sztuce, o stylach, że pierwsze obznajomienie się z nazwiskami mistrzów, ich właściwościami i tak zwanemi szkołami,—owe wiadomości tak nieodzownie potrzebne do zoryentowania się i wyrobienia poczucia dla piękna, bez których też o żadnym, mniej więcej ugruntowanym sądzie w tych przedmiotach być nie może, obu braciom Kremerom zawdzięczam.

Powyższe przedstawienie zakresu udzielanych nauk przekonało nie wątpię, iż pensyonat owemu podwójnemu swemu odpowiadał zadaniu. Był więc i gimnazyalną szkołą, ale dawał zarazem jeszcze i inne, wszechstronniejsze, a głównie estetyczne wykształcenie. Dla tego też, przybywszy na niemiecki uniwersytet, chociaż tak nadzwyczaj słaby byłem w greczyznie, chociaż doskonale czytając łacińskich autorów jedynie bym był tylko z trudnością pisał w tym języku,—a więc pomimo że w tych dwóch przedmiotach byłem słabszym od niemieckich kolegów,—gdy jednak stałem z nimi na równi co do historyi i nauk przyrodzonych a celowałem co do matematyki i języków żyjących, — co do wiadomości zaś estetycznych górowałem nad nimi, co chętnie uznawali, — więc nie miałem powodu do rumienienia się w tej mierze.

Dokończenie nastąpi.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Krzysztof Opaliński. Satyry. Kraków 1884. Nakładem K. Bartoszewicza, str. 255 w 16ce. Cena 80 ct.

Mamy przed sobą 16ty tom wydawnictwa K. Bartoszewicza, zawierający cenne, a mało znane satyry Krzysztofa Opalińskiego.

Kto był pan Krzysztof opowiadał o tem szeroko Szajnocha. Zarzucał mu wiele jako obywatelowi kraju i miał pewną słuszność. Ale obywatel, a pisarz to niestety rzeczy bardzo różne. Gdyby pan wojewoda poznański był takim dzielnym obywatelem jak był dzielnym pisarzem, osobistość jego stałaby na świeczniku, byłaby wzorem dla potomnych. Że nim nie był, to jego własna wina. Nam nie wchodzić w jego sprawy, w jego działalność obywatelską — my mając przed sobą jego satyry, o nich pisać musimy.

Jakie one miały znaczenie i jaki wpływ poucza nas przedmowa wydawcy. W ciągu lat 48 było ich dziesięć wydań — rzecz niesłychana na owe czasy. Najznakomitsi nasi pisarze nie mogą się pochwalić taką popularnością. Niema po prostu przykładu w naszej literaturze XVI, XVII i XVIII wieku, aby w ciągu niespełna pół wieku tyle wydań jednego dzieła się pojawiło (mówimy tu naturalnie tylko o dziełach mających wartość literacką).

Przedmowa wydawcy poucza nas również do jakich środków się uciekano, aby usunąć z tak popularnego dzieła niektóre satyry uderzające za zepsucie pewnych stanów, jak wydawano je pod zmienionemi tytułami i z opuszczeniami, tekst nawet przerabiając na prozę, aby w zmienionej szacie i uszczuplonej treści podsunąć książkę, na której możnaby nie wypisać: „liber prohibitus.“

Podawszy dokładną wiadomość bibliograficzną o „Satyrach“ pan B. uważa wydanie swoje za dwunaste z rzędu i oświadcza, że trzymał się głównie wydania I-go z r. 1650, odstępując od niego tylko tam, gdzie dojrzał wyraźny błąd drukarski. Pisownię nieco modernizował pozostawiając jednak w tekście wybitniejsze cechy pisowni XVII. w. W końcu dołączył słowniczek wyrazów dziś nieużywanych lub mających odmienne znaczenie, czem ułatwił korzystanie z „Satyr“ szerszym kołom zwolenników dawnej naszej literatury.

A czytać je doprawdy warto, choćby dla tej jędrnej polszczyzny, rubasznej może nieco, ale takiej silnej, obrazowej, tak prostej a pięknej w swojej prostocie, że może służyć za wzór dzisiejszym pisarzom, bo nie zlęknie się nawet porównania z językiem „złotej epoki“. Ale nietylko język zasługuje na uwagę — treść sama jest pełna głębokiej wartości.

Opaliński bezstronny jak rzadko, karci występki w kimkolwiek je postrzega, nie przebaczając ani szlachcie, ani duchowieństwu, ani dworowi. Głęboko na swój wiek uczony, a przytem dowcipny, gruntownie rozbiera to, co sobie założył, wchodzi w najdrobniejsze szczegóły, przytacza dowody, popiera swe twierdzenia zdaniami autorów starożytnych, przykładami bra nemi z dziejów, a wszystko stara się okrasić żywością stylu i dowcipu, jaśniejącego niekiedy w całym blasku. Zarzucić mu można, że do swych satyr wciągnął wiele przedmiotów zajmujących więcej statystę, polityka, lecz obojętnych dla poety. Zarzut to satyrykowi, ale nie pisarzowi. Zapomnijmy w takim razie, iż czytamy „satyrę“, a będziemy mieli przed sobą rozprawę bardzo mądrą, bardzo głęboką, opartą na znajomości ludzi, stosunków kraju, jego potrzeb i stanu. Nic dziwnego, że polityk wygląda często z za satyryka: obu trzeba przyznać wielkie zalety pisarskie, śmiałość w wypowiadaniu przekonań i wielką dozę tego „chłopskiego rozumu,“ co zwykł zawstydzać „pełnych próżnej chwały i o sobie rozumienia.“

Co szczególniej uderza w Opalińskim, to rzadka wszechstronność: dla niego każdy temat jest równie ważny, o wszystkiem ma zdanie i to nie powierzchowne, lecz ugruntowane na doświadczeniu, znajomości charakterów i serca, na poważnem wniknięciu w sprawy krajowe i społeczne. Ostrego satyryka mają w nim tak „zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje“ jak „zbytki w częstowaniu i bankietach“; gromi z zapałem „złe ćwiczenia i rozpasaną edukacją młodzi“ „zaloty i małżeństwa nieważne“, „zmyślone farbowne przyjaźni,“ „pijaństwo nieposkromione i pijaniców“; gniewa się na „posyłanie synów do obcych krajów,“ na „zepsowaną militarem disciplinam,“ na „daremne testamenty i niewypełnione“; „przekupstwo,“ owe „wszechstronne podarki“ mają w nim takiego wroga jak „liży-obrazki“ „wyjadacze,“ „natrętni“ i „importuni“. Z dziwną na wiek swój odwagą powstaje w gwałtowny sposób na ciężary chłopskie, na bezkrólewie i jego nierząd, na nieporządek w skarbie, na trybunały i sądy, na „chromą praw exekucją.“ Pan z panów więcej ma pojęcia o osobistej wartości, niż może wszyscy mu współcześni, ztąd „wyrodków familij“ spycha z nieprawnie zajętego stanowiska, a wymownie kreśli kto właściwie zasługuje być „wolnym szlachcicem.“ Bardzo zdrowo zapatruje się na urząd hetmański, żąda obrony „ścian ogołoconych“ i daje praktyczne rady, które wysłuchane w swoim czasie byłyby wzmocniły potęgę państwa. Również cenne podaje wskazówki co do sposobu pomnożenia i urządzenia miast, proroczym prawie duchem przepowiada jaki będzie skutek ze złego gospodarstwa w ziemiach ukrainnych i nieporządnego urządzenia leż zimowych dla żołnierza i jego stanowisk. Ze smutkiem się czyta te złote słowa, ze smutkiem widzi się jak drobnemi środkami można było całą budowę podeprzeć, jak prywata i dobro magnatów stawały na przeszkodzie rozumnej gospodarce państwowej. Nie brak było ludzi zdolnych i rozumnych, brak było tylko energji, a co najgorsza brak dobrej woli i miłości dobra ogólnego.

Nie miejsce tu przytaczać ustępy z „Satyr“, lub je streszczać—ta ostatnia praca byłaby prawie niemożebna, Opaliński bowiem odznacza się rzadką treściwością, nigdy nie jest rozwlekłym, wszelkie więc streszczanie uskutecznić by tylko można z uszczerbkiem całości, nie dając o niej rzeczywistego pojęcia. Zaznaczyć nam więc jeszcze chyba wypada tylko tyle, że do czasów Krasickiego nikt jako satyryk nie może się równać z Opalińskim, a choć Krasicki prześcignął go pod względem formy, to Opalińskiemu przyznać należy niezmierną wyższość treści. Ksiądz biskup Warmiński pisał bardzo pięknie i dowcipnie, ale nigdzie nie zdołał wznieść się tak wysoko jak Opaliński, nigdy nie sięgnął tak głęboko jak on do źródła upadku obyczajów narodowych, badał je więcej powierzchownie, odkrywał słabostki i śmieszności, pisał więcej dla dowcipu i zabawy, dla podniesienia swego stanowiska w literaturze. Opaliński przeciwnie mniej dbał o formę, więcej o treść: więcej był w swoich satyrach obywatelem niż pisarzem, satyra była dla niego nie celem, lecz środkiem. Wydał dzieło swoje bezimiennie, nie przyznawał się do autorstwa, taił nawet miejsce druku, bo lekarstwo było silne, paliło rany, obrażało całe stany, ludzi najwyższe piastujących dostojeństwa. Nie o sławę literacką więc mu chodziło, lecz o rzecz samą. A jednak i tę sławę literacką pozyskał, bo dzieło jego, lubo niewielkie rozmiarami i do tego jedyne, jakie z pod pióra jego wyszło, zapewniło mu wybitne stanowisko w dziejach naszej literatury, a jedno z najwybitniejszych w tak zwanej epoce panegiryzmu.

Ale prawda! czyniono Opalińskiemu zarzut, że ubiega się za dwuznacznikami, że miejscami jest „nieprzyzwoity“. Szanowni moraliści zapomnieli, że wszyscy prawie znakomitsi pisarze nasi nie są wolni od tej wady, że prostota obyczajów dawniejszych dozwalała na wybryki humoru, które współczesnych nie raziły tak jak nas dziś rażą. My dziś w przyzwoitych wyrazach umiemy kreślić najbrudniejsze sceny, umiemy roznamiętniać wyuzdałemi obrazami — nasi przodkowie tego nie umieli: swawolna ich mowa nie wstydziła się wyrazów, wywoływała śmiech serdeczny, była może nieprzyzwoitą, ale nie niemoralną. Rej, Kochanowski, Morsztyn, Górnicki, Kochowski, Potocki, nie mówiąc już o późniejszych, grzeszyli ową nieprzyzwoitością, stokroć lepszą od naszej przyzwoitości. Nie dziwić się więc Opalińskiemu, że i tę cechę czasów w utworach jego znajdujemy.

L.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Znowu dwie nowości teatralne stoją dziś przed sprawozdawcą. Z nich jedna francuzka, chociaż niby na tle naszych dziejów osnuta, a druga oryginalna polska.

„Dwie matki, obraz historyczny w 9 odsłonach“ przez p. Catulle Mendez, przedstawiony po raz pierwszy na naszej scenie d. 12 stycznia, cieszył się niemałym rozgłosem w zeszłym roku w Paryżu, gdzie autor ofiarował go słynnej Sarze Bernhard na otwarcie jej własnego teatru. Utwór ten ma za temat fikcyjny epizod dramatyczny z pierwszych lat dziejów porozbiorowych. P. Catulle Mendez jest wyjątkowo przyjaźnie dla nas usposobionym, co daje się widzieć z całego sposobu traktowania obranej przezeń tezy i całego ducha sztuki. Autor na najdosadniejsze zdobywa się barwy, aby społeczeństwo polskie przedstawić ze strony najpochlebniejszej i uwydatnia to silnemi kontrastami.

Wdzięczność jaką za to czujemy nie wyklucza i wykluczać nie powinna, konieczności wypowiedzenia prawdy autorowi *„Dwóch matek“*. A prawdą jest, że chociaż miał on *dobre chęci* odwzorowania stosunków naszego kraju z najkorzystniejszej strony, *nie mógł* jednak być dobrym tych stosunków malarzem, bo ni mniej ni więcej jak każdy Francuz, jest zupełnym nieukiem w rzeczach naszej historji i naszej cywilizacji.

Gdyby bowiem p. Mendez nie był w tych rzeczach nieukiem, gdyby choć pobieżnie zechciał był się z niemi przed wystąpieniem ze swoim dramatem obeznać, nie byłby z pewnością popełnił tylu krzyczących przeciw nim herezyj i błędów, których długiego szeregu nie jestem nawet w możności na tem miejscu wykazać.

Jeden tylko szczegół w utworze p. Mendez, pod wpływem przychylności dla nas, został przezeń intuicyjnie niejako odgadnionym, bo trafnie pod względem etycznym i historycznym schwyconym. A mianowicie: dostrzegł autor w naszych dziejach tego tragicznego rysu, że synowie jedne

ziemi, ba, nawet częstokroć dzieci jednych rodziców znajowali się i znajdują nieraz w przeciwnych obozach, pchnięci do Kainowej walki. Na tym też szczególe głównie osnuł autor swój „obraz historyczny“, postawiwszy w szrankach „*Dwie matki*“, dwie żony jednego męża: zacną matronę Polkę i bezczelną obcą zalotnicę a potem umieściwszy we wrogich obozach dwóch synów jednego ojca, nietylko należących do dwóch narodowości, lecz w dodatku rywalizujących o miłość jednej kobiety.

Ten główny szczegół, stanowiący osnowę sztuki jest jedynym w całej sztuce szczegółem, zgodnym z etyczną i historyczną prawdą. Inne zaś detale są do naiwności błędne i fałszywe. Nie wie np. autor, że chociaż bywali u nas renegaci, lecz motywa ich apostazyj nie były nigdy tak liche jak miłostki z jakąś nędzną zalotnicą. Nie wie dalej autor, że zamek polskiego magnata nie był nigdy kastelem feudalnego władcy i że nigdy ani jemu, ani jego małżonce nie składała publicznie hołdów niby poddańczych karmazynowa szlachta, z żydami i chłopami pospołu. Nie wie, że w naszym ustroju społecznym nie było nigdy „niewolników“ i wyzwoleńców, jakim zrobił swojego Rodźkę, „marszałka dworu,“ którymi przecież bywała zawsze krew szlachecka, „równa wojewodzie“...

Takie są główne (co pomijamy wiele pomniejszych) błędy, których się autor przez niewiadomość dopuścił, a które jednak ubliżają jego utworowi, obniżają jego wartość, a nawet ośmieszają go. A przecież ten utwór jest zkądinąd utworem cechującym niemały talent, odznaczającym się dobrą budową sceniczną, pełnym pięknych i podniosłych epizodów, i przedewszystkiem ożywionym zdrową myślą i szlachetną tendencyą.

Dzięki ciekawości widzów jak niemniej dzięki bardzo dobrej grze pani Hofmanowej jako matki Polki, tudzież poprawnej interpretacji ról Boleskiego i Rodźki przez p. p. Riegiora i Podwyszyńskiego i w ogóle dość starannej obsadzie sztuki, „*Dwie matki*“ miały u nas względne powodzenie, tj. dwa przedstawienia zapełniły szczelnie publicznością. Zdaje się jednak, że powodzenie to było efemerycznem i pozwalamy sobie wątpić, aby ten utwór mógł utrzymać się w repertuarze naszego teatru przez czas dłuższy.

Drugą z kolei nowością, o której mówić dziś mamy, jest komedja „*Nieboszczyk*“. Wzorem francuzkich komedjopisarzy, dwaj nasi autorowie, p. Urbański i p. Czerwiński napisali ją „na współkę“ i wywiązali się z tego nowego u nas zadania wcale gładko, ponieważ owoc ich wspólnej pracy nietylko żadną nie razi niejednolitością, któraby zdradzała dwoistość jego ojcowstwa, lecz owszem jest rzeczą chociaż nie bez usterek ale dość udatną, jest komedją o dość poważnym zakroju, o fakturze poprawnej, żadnemi niegorszącej błędami i o tendencji, posiadającej niezaprzeczone zalety oryginalności i nowości w naszej literaturze scenicznej.

Autorowie *Nieboszczyka* obrali sobie za zadanie: pogodzić społeczeństwo polskie z otwarciem dla naszych kobiet nowych dróg, dotychczas prawie zamkniętych przed niemi, dróg samodzielnej pracy i nauki, dróg wykształcenia fachowego, praktycznego i zawodowego, dróg słowem zupełnej emancypacji naszej kobiety. Aby takie zadanie tem wyborniej zaznaczyć, aby strony dodatnie emancypacji kobiet wybitniejszemi uczynić, autorowie nietylko z widoczną predylekcyą całą swą miłość ojcowską skoncentrowali na typie panny Kamilli Trapczanki, będącej w komedji wcieleniem młodej panny emancypowanej i praktycznej, lecz jeszcze zbyt po macoszemu traktowali inne, wprowadzane do komedji typy i postacie, czyniąc je za czarnemi i za szpetnemi, gwoli lepszego wyzyskania, na korzyść postaci uprzywilejowanej, środka, znanego w sztuce pod nazwą „kontrastów artystycznych.“

Zamiar bądź co bądź godziwy i niebyśmy przeciw niemu nie mieli. Wyznajemy, że niezupełnie godzimy się z różowemi poglądami autorów na kwestyą „umężczyznienia“ kobiet, lecz umiemy szanować opinję innych, wymagając tylko, aby preopinanci przekonywająco swą tezę udowodnili.

W danym razie chodzi nam tedy o to, czy autorowie, tak widocznie przez siebie „ulubioną“ myśl zrehabilitowania w opinji społeczeństwa polskiego, typu emancypowanej młodej panny, uczynili przekonywającą dla innych, a *respective*, czy tak widocznie „kochaną“ przez siebie postać genewskiej doktorki medycyny, „postępowej i praktycznej“ panny Kamilli Trapczanki, potrafili uczynić, jeźli niezupełnie sympatyczną i miłą, to przynajmniej i do pewnego stopnia znośną dla widzów, którzy przecież stanowią tu najwyższe *criterium* sądu?

Otóż, pomimo licznych zalet komedji, które uznajemy szczerze i o których umyślnie wspomnieliśmy najpierwej, musimy wyznać równie szczerze, że tezy swojej autorowie nie udowodnili, czy (co w danym razie stanowi jedno i toż samo) że bohaterki swojej, a przedstawicielki emancypacji nietylko nie uczynili sympatyczną i miłą, lecz owszem prawie nieznośną zrobili ją postacią. Młoda panienka, wykładająca kawalerom tonem kaznodziejskim nauki „jakim powinien być prawdziwy mężczyzna“, narzucająca się wszystkim ze swą pedanterją i sarkazmami, mieszkająca w pokoju, zarzuconym worami „produktów rolniczych“, jeżdżąca na jarmarki, targująca się z cuchnącymi błotem i stajnią żydami, a przytem szermująca z emfazą technicznemi terminami medycznemi i z pistoletem w ręku zmuszająca oszustów do spowiedzi i skruchy, nie jest wcale sympatyczną i miłą, a więc taką, której przykład mógłby pojednać „zacofane“ społeczeństwo nasze z „nowemi drogami“ i której apostolstwo mogłoby zyskiwać pożądanych (przez autorów) prozelitów? Co do nas, to jedyną chwilą, w której panna Kamila zdaje się nam cokolwiek znośniejszą i mniej wstrętną jest właśnie ta, gdy ona przez nieuwagę czy niekonsekwencją autorów zdradza swój (trzechaktowy) charakter, rozmija się ze swem posłannictwem i przestaje prawie być sobą, to jest gdy w końcu trzeciego aktu (i całej sztuki), zdobywszy sobie „emancypowanemi“ drogami męża, powiada: „rola doktora skończona, rozpoczyna się rola żony“?...

Czyżby te słowa zdradzały mało ugruntowaną wiarę samych autorów w sprawę emancypacji? Wątpimy, bo cała komedja, wyłącznie pannie Kamilli, jako zwycięzkiej emancypantce, poświęcona, nie miałaby w takim razie racji bytu!

Nie miałyby przytem racji bytu takie szpetne, tak tendencyjnie na czarno umursane postacie, jak obrzydłej faryzejki pani mecenasowej, jak wstrętnego rozpustnika i fałszerza Teodora, jak bezczelnego szarlatana, oszusta i zbrodniarza Fluksowicza, lub cynicznego „goga“ Anatola. Nie miałaby racji bytu i blada postać „nieboszczyka“ Leszka (*malade imaginaire*), w którego wmówiono śmiertelną chorobę, aby jego majątek zagarnąć, a którego wskrzesza dopiero do życia zdrowe tchnienie emancypowanej Kamilli, ani też anemiczny typ Celestyny, obracającej się tędy i owędy jak chorągiewka za powiewem wiatru.

Ergo, cel komedji, zdaniem naszem, jest chybiony. Koncepcja jednak sztuki jest tak zajmującą i oryginalną, sceny pojedyńcze tak pełne życia, werwy i satyrycznego komizmu, dyalogi po części tak potoczyste i gładkie, że pomimo wykazanych usterek „Nieboszczyk“ może się cieszyć pewnem powodzeniem.

Gra naszych artystów w tej komedji była po większej części wyborną. Najlepiej odtworzyli swe role: panna Wojnowska (mecenasowa), p. Szymański (Fluksowicz), p. Frenkel (Trapcza) i p. Sobiesław (Leszek). Pan Arwin, jako Teodor był jakimś pisarzem prowentowym, a nie synem (chociażby marnotrawnym) zamożnego wiejskiego dworu. Panna Kułużyńska zaś jako Kamilla na pierwszem przedstawieniu grała z przesadą i niemiłą manjerą deklamacyjną, na drugiem jednak usterki te, dzięki uwagom dorażnej krytyki, sprostowała, grając już poprawniej i naturalniej.

A. Z.

Ruch muzyczny.

Koncerta. W piątek dnia 11 stycznia b. r. odbył się w sali hotelu Saskiego koncert pani Eweliny Syrwid — Sąchockiej primadonny soprano opery włoskiej i p. Stanisława Sąchockiego barytona. Program zawierał rzeczy u nas dobrze znane i nie budzące większego zajęcia, lecz i ten musiał być zmienionym z powodu nagłej choroby pana Sąchockiego. Pani Sąchocka odśpiewała na wstępie recitativo i aryę z opery „Norma“ Belliniego, następnie piosnkę Galla „O wär mein Lieb der Fliederbusch“, pieśni Żeleńskiego: „Na śnieżnym krzaku choiny“ i „Marzenia dziewczyny“. Najlepiej wypadły utwory włoskich mistrzów a mianowicie Bolero z opery „Nieszpory Sycylijskie“ Verdiego i arya z Hernaniego tegoż kompozytora. Pani Syrwid posiada głos sopranowy o skali obszernej, głos ten nie jest wielki, lecz brzmienie jego jest bardzo dźwięczne i przyjemne; koloratura wyrobiona, szkoła dobra.

Pan Singer zastąpił na tym koncercie z grzeczności p. Sąchockiego i odegrał na skrzypcach Barcarollę Riesa z towarzyszeniem fortepianu. Na zakończenie odśpiewali koncertanci duet z opery „Don Juan“ Mozarta.

Kulminacyjnym punktem tego sezonu był koncert p. Zygmunta Noskowskiego dyrektora Towarzystwa muzycznego w Warszawie dany w środę dnia 16 stycznia z współudziałem pp. Bylickiego, Singera, Cinka i orkiestry krakowskiej. Program zawierał wyłącznie utwory koncertanta a mianowicie: 1) marsz uroczysty na orkiestrę, 2) melodja (op. 3.) na wiolonczelę, 3) „Gdy w czystem polu“ pieśń ludowa opracowana na dwa głosy żeńskie z towarzyszeniem fortepianu, 4) kwartet smyczkowy E - dur (Nr. 2), 5) Morskie oko“ uwertura koncertowa na orkiestrę (opus 15, H - moll), 6) chór z Wieczornic (z 3go aktu) żeński chór i orkiestra i 7) waryacye na własny temat na orkiestrę. — Pan Noskowski posiada niezaprzeczenie pierwszorzędny talent twórczy, bogactwo melodji i wszechstronne opanowanie formy Program powyższy wykazał główne strony talentu tego kompozytora. Z wymienionych tu utworów stawiamy najwyżej wspaniałą uwerturę „Morskie Oko“ (op 15) dedykowaną prof. Kielowi i kwartet smyczkowy.

W uwerturze tej uderza zaawcę śliczna harmonizacya i wzorowe kontrapunkty. Budowa całości i przeprowadzenie mistrzowskie, a opracowanie

dwóch głównych tematów zdradza nader wprawną rękę. Instrumentacya tej uwertury przepyszna, wszystkie możliwe efekta są zręcznie wyzyskane a traktowanie pojedyńczych instrumentów budzi podziw u znawców.

Oryginalny kwartet smyczkowy składa się z trzech charakterystycznych części tj. a) Allegro serioso b) Andante doloroso i c) Allegro giojoso i wykonany był przez pp. Noskowskiego, Wrońskiego, Singera i Cinka. Kompozytor grał pierwsze skrzypce, p. Wroński sekundo, p. Singer altówkę a p. Cink wiolonczelą. Chodzimy już od lat 20 na wszystkie koncerty, lecz pierwszy raz widzieliśmy aby kwartet smyczkowy tak porwał całą publiczność. Z drugiej zaś strony dodać winniśmy, iż coś tak cudownie pięknego jak część środkowa tego kwartetu t. j. *Andante doloroso* nie rychło usłyszeć można. Obydwa wyżej przytoczone utwory uważamy za arcydzieła muzyczne.

Marsz uroczysty na orkiestrę ogólnie się podobał. Melodję na wiolonczelę wykonał bardzo ładnie p. Cink i huczne zbierał za świetną interpretacyę oklaski. Pieśń ludowa „Gdy w czystem polu“ jest wzorowo opracowana i posiada niezwykłe a wdzięczne harmonje i kontrapunkt z pewną finezyą użyty. Chór z „Wieczornic“ jest bardzo zajmującym utworem napisanym w duchu ludowej muzyki.

Na zakończenie koncertu wykonano śliczne waryacye na własny temat na orkiestrę. Wykonanie tego bogatego programu było bardzo staranne a orkiestrą dyrygował sam kompozytor. Orkiestra krakowska chlubnie z zadania trudnego wywiązała się, również chóry i kwartet smyczkowy dobrze były wykonane.

Pisząc o Noskowskim nie mogę pominąć jego ślicznej muzyki do sztuki ludowej p. t. „Wiara-Miłość-Nadzieja“ posiadającej piętno muzyki rodzimej, narodowej. Jakie piękne są to rzewne piosnki Bronki i Jaruchy, jak wspaniałym ten marsz żałobny, a z drugiej strony co to za werwa w tych oberkach, krakowiakach i niezrównanym duecie „dziadów“. Nad każdym z wymienionych ustępów wartoby dłużej się zastanowić, lecz niestety nie ma tu miejsca, potrzeba by chyba osobną i to sporą wydać broszurę, by każdą z tych kompozycyj należycie i sumiennie ocenić

Trzeci koncert krakowskiego Towarzystwa muzycznego odbył się w poniedziałek dnia 28 stycznia w sali redutowej. Program tego styczniowego koncertu zawierał nowe dzieło francuzkiego kompozytora Teodora Dubois's, a mianowicie oratoryum p. t. „Siedm słów Chrystusa“ na sola, chóry mięszane i orkiestrę.

Oratoryum to nie posiada cechy muzyki religijnej, przeważa tu więcej właściwy styl operowy, światowy; na obronę autora chyba nadmienimy, iż z 38 znanych „Stabat Mater“ zaledwie kilka dzieł religijnemi utworami nazwać byśmy mogli, a słynna „Stabat“ Rossiniego jest zupełnie w operowym stylu. Jakkolwiek oratoryum Dubois'a nie posiada warunków kompozycji pierwszorzędnej, ma jednak kilka ustępów ślicznych w pierwszej połowie dzieła, a mianowicie: Nr. 1 „O vos omnes“ arya sopranowa i Nr. 3 „Hodie mecum“. Ostatnie ustępy są już słabsze. Wykonanie chórów było dobre, z partyj solowych odznaczył się chlubnie tenor pierwszy p. Pisurski, inne mniej dobrze wypadły.

Prócz tego oratoryum zawierał jesze program koncertu Gounoda prolog do „Romea i Julji“ na chór mięszany i orkiestrę i Noskowskiego „Wieczornice“, utwory znane z poprzednich koncertów. Pan Cink, wiolonczelista wykonał z precyzją i zrozumieniem Goltermanna drugi koncert (D-moll). Koncert ten odznaczający się śpiewnością dał pole p. Cinkowi wykazania licznych zalet gry swojej.

Maurycy Sieber.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Zjazd historyczno-literacki imienia Jana Kochanowskiego odbędzie się w Krakowie w dniu 28, 29 i 30 Maja r. b. Ze zjazdem połączoną zostanie wystawa druków i rycin polskich XVI. w. Zgłoszono dotąd 13 referatów w sekcji histor. literackiej, a 5 w sekcji językowej.

— Zbiór utworów poetycznych *Wacława Szymanowskiego* wyjdzie w 5ciu sporych tomach i pomieści: utwory liryczne, gawędy, satyry, prace dramatyczne, oraz tłomaczenia obcych poetów.

— W dalszym ciągu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego wyszedł cztorotomowy utwór: „Joszka, Orfanem zwanego, żywota i spraw pamiętnik.“ Następna powieść historyczna „Dwie królowe“ oddaną już została do druku.

— „Wieczory florenckie“ *Klaczki* wyjdą w drugiem wydaniu nakładem księgarni L. Polaka w Warszawie.

— Tom I. dzieł *Sienkiewicza* wyszedł już w trzeciem wydaniu.

— Najnowsze nakłady księgarni *K. Bartoszewicza*:

1. Nowelle, tom I. Kraków 1884. Jestto zbiór nowell tłomaczonych pierwszorzędnych autorów, 8-ka wielka, str. 191. (Cena 1 złr. 50 ct.
2. Der Patriotismus in Polen von *Isidor Graf Dzieduszycki.* Kraków 1884 in 8-vo maj. str. 224. Cena 2 złr. 50 ct.
3. *Dr. Tadeusz Rutowski.* W sprawie przemysłu krajowego. Kraków 1883, w wielkiej 8-ce str. 253. Cena 1 złr. 50 ct.
4. Perły humoru polskiego. Zeszyt I. Kraków 1884 w wielkiej 8-ce str. 64. Cena 30 ct. Zeszyt 2-gi wyjdzie 12 Lutego.

— P. *Rafał Löwenfeld,* autor monografji o Kochanowskim napisanej w języku niemieckim, wydał świeżo podobną monografję o Łukaszu Górnickim.

— *Karol Brzozowski,* znany poeta i dramaturg złożył znowu dyrekcji teatru we Lwowie komedją jednoaktową p t. „Do tarczy o pannę“.

— P. *Helena Modrzejewska* jest autorką zajmującego listu z Ameryki umieszczonego w nrach 16 i 17 „Echa muzycznego i teatralnego.“

— *Teofil Lenartowicz* przeznaczył dla teatrów warszawskich dramat p. t. Sokrates“.

— P. *Wincentego Rapackiego* obraz historyczny p. t. „Odsiecz Wiednia“ nagrodzony na konkursie krakowskim, wyszedł w osobnej odbitce z „Biblioteki Warszawskiej“.

— W „Comedie française“ w Paryżu przedstawiono niedawno czteroaktowy dramat *Jana Aicarda,* tłumacza szekspirowskiego „Otella“ p. t. „Smilis“, który przez zręczną budowę doznał powodzenia.

— *„Konrad Wallenrod“* w angielskim przekładzie p. *Henryka Drzewickiego* (nauczyciela języka angielskiego w Krakowie) pojawił się już w Londynie zaopatrzony wstępem literackim pióra Adama Bełcikowskiego.

— Dodatkowy tom (czwarty) pośmiertnych pism *J. Słowackiego,* mający zawierać nieznane dotąd utwory mieszczące się w manuskrypcie biblioteki zakładu Ossolińskich we Lwowie ma się wkrótce ukazać nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta.

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

P. *Br. Abramowicz* ukończył obraz „Zygmunt August.“ Obraz ten należy do najlepszych prac tegoż artysty.

Świetna, zwłasza pod względem kompozycji akwarela, *Juljusza Kossaka:* „Hasło i odzew“ pojawiła się w naszym salonie Tow. Sztuk P.

Z pracowni *Juljana Fałata* w Warszawie wyjdą wkrótce dwie akwarelle: „Sprzedaż obrazów na jarmarku“ i „Powrót z kościoła od ślubu,“ oraz portret p. Z.

Na wystawie Tow. Z. Sztuk P. w Warszawie miłe wrażenie czyni „Kwiaciarka“ *Wacława Szymanowskiego.*

Prof. *Gadomski* pracuje nad biustem Jana Kochanowskiego.

— *Życiorys* znanego kompozytora p. *Wł. Żeleńskiego* wraz z dokładnem zestawieniem dzieł jego porządkiem chronologicznym podał p. Jan Kleczyński w „Echu muz. i teatr.“

— *Lecoque* napisał nową operę komiczną p. t. „Gavroche.“

— *Opera Ponchiellie'go* „I Lituani“ na tle „Konrada Wallenroda“ przedstawioną będzie w Petersburgu jeszcze w bieżącym sezonie.

— P. *Karol Mikuli,* dyrektor Galic. Tow. Muz. we Lwowie wydał u Gebethnera i Wolfa w Warszawie „Dwa śpiewy religijne“ i “Veni Creator“, które krytyka stawia wysoko.

— Autora „Dzwonów Kornewilskich“ *Planquetta* nowa operetka p. t. „Rip, rip.“ cieszy się we Wiedniu stałem powodzeniem.

— W Kolonji wystawiono w ubiegłym miesiącu pośmiertne dzieło *Flotowa,* operę p. t. „Hrabia de St. Mégrin.“

— *J. Brahms* za nową symfonję otrzymał ofertę od wiedeńskiego wydawcy Guttmana w okrągłej sumie 10,000 złr.

— „La musique populaire“ w Paryżu ogłosiła konkurs na fantazją fortepianową i melodją wokalną. Do konkursu zaproszeni artyści wszystkich narodowości. Nagrodę stanowią medale: złoty, srebrny i bronzowy.

P. *Franciszek Żmurko* wykończył w Warszawie obraz „Sen nocy letniej“ wystawiony w salonie Towarzystwa zachęty Sztuk Pięknych.

— P. *Mierzwiński* po ukończeniu swych występów w Petersburgu udać się ma do Ameryki.

— *Józefa Brandta* obraz „Wyjazd na łowy“ zakupiło muzeum miejskie w Lipsku za 6000 marek

— *Pablo Sarasate,* znany wirtuoz przybywa do Krakowa i da koncert 11 b. m.

Do tego Nru dołącza się dwa rysunki: „Mali psotnicy“ W. Piwnickiego i „Głowa wieśniaka“ M. Ichnowskiego, oraz spis rzeczy i tytuł do Igo rocznika „Przeglądu“.



GŁOWA.

Rysunek M. Jchnowskiego.



MAŁE PSOTNIKI.

Rysunek W. Piwnickiego.